№ 28 Warszawa, dnia 30 Czerwca (12 Lipca) 1879 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI
w literaturze i społeczności naszéj.

(Dalszy ciąg).

Krytyk oficyalny Tygodnika, p. T. Bukar. którego Kraszewski w kąt zapędził, wystosował najpierwszy artykuł przeciw Kr., ale takiego jakiegoś niedobrego gatunku, że aż sam wydawca, lubo jego cenicíel serdeczny, uważał się w obowiązku artykułu pomienionego w piśmie swojem nie umieścić, a autorowi jego, który ze strachu ukrył się pod pseudonimem Szczeromira Prawdzickiego dać stosowną admonicyą oświadczając mu głośno, że dlatego tylko robi mu honor, że domyśla się w nim pisarza, którego zkąd inąd wielce szanuje (Tyg. Pet. 1837 N. 46). Głównym zarzutem nieznanego recenzenta, powiada wydawca, jest zarozumiałość, z jaką p. Kr. powstaje na powszechnie szanowane imiona i brak celu, a zamiast zbijania jego myśli, wyrzuca mu dawne jego usterki." Najlepiéj ta animadwersya wystawia stan ówczesny ducha; nikt nie zrozumiał rzeczy tak jak ją podał Kr.; myśl jego brano *au pied de la lettre*. Donkiszoci cisnęli się gwałtem do stoczenia bitwy z wiatrakami. W N. 56 tegoż roku została ogłoszoną w Tyg. Pet. odpowiedź na artykuł Kr. rymowana, napisana przez Szymona Konopackiego. W odpowiedzi téj niewiele było rzeczy. Poczyna od tego że wielce oczytany autor artykułu o kradzieży literackiéj, westchnął nad umysłowością ludzką i jéj kolejami.

Słusznie westchnął, lecz wina nie spada na ziemian (?)
Że morze ludzkich rzeczy, śród pozornych przemian,
Lubo fala uderza w nadzmysłową tkankę,
Zdawnych toni wykształca świeżą tylko piankę idt. idt.

Trudno dziś nawet uwierzyć temu, żeby mogła ta lekka doza dowcipu Kr. tak silnie pojątrzyć myśl zwyczajnie leniwą literatów naszych. Nietylko T. Bukar, ale nawet M. Grabowski, pod swoim pseudonimem *Kościeszy*, wystosował był z kolei żartobliwe uwagi o rozprawie Krasz. uwagi o których tylko wspomniał wydawca w swojem piśmie ale ich drukiem nie ogłosił (N. 48). Nie koniec było jeszcze tego; wystąpił na plac sławny z wymowy w owe czasy kaznodzieja wileński ks. Ludwik Trynkowski. I on obrał sobie za narzędzie rymowaną prozę! W artykule swoim zachęca Kr. do pracy. Z tego powodu wystosował wiersze do ks. Ludwika B. Dołęga, zachęcając go aby ścigał *tego pstrego latawca*, na co mu tamten odpowiadał, także rymem w tymże Tygodniku. I tak to sobie przeszło. Kraszewski spodziewał się pewno lepszych daleko oponentów i wielce się na tem omylił. T. B: *Kościesz* zamiast zaprotestować przeciw rzeczy, bili na samego autora i to tak nawet nieprzyzwoicie, że nawet wydawca gazety uznał za lepsze daleko złożyć te dyatryby *ad acta*. Jakkolwiekbądź artykuł O kradzieży literackiéj postawił wysoko Kraszewskiego w opinii publicznéj, poczuto w nim samodzielnego pisarza, głowę myślącą. Jak sfinks starożytnych zadawał on zagadki i pożerał niedomyślnych. Zadanie, które podał do rozwiązania, było proste: rzeczywiście materyał sam nietylko w poezyi i dziejach, ale same nawet fakta nauki są wiecznie te same, jak szkiełka kalejdoskopu, tylko sam pogląd na nie, nietylko układ ich jest coraz inszy, wyświecający przed okiem pokoleń nowych coraz to inne idee. Napis na paczce tytoniu rzeczywiście był mądrem zdaniem; zdanie to znajdujemy już w przypowieści Salomonowéj. Przed Kraszewskim, Weber, autor *Demokryta*, usiłujący w niemieckiéj mowie naśladować dowcip Woltera, powiedział był to samo, co wyrzekł Krasz. w swoim artykule o kradzieży literackiej: „*Die meisten neue Bücher werden aus alten bloss abgeschrieben* (Demokritos X-er Bd. art. „*Die gelehrten*). Nic tu nie było osobliwego, rzeczą osobliwą był tylko ów paradoks, że tyle wieków ubiegło, a liczba myśli będących w obiegu i jedną się nie powiększyła.

Jako żywo wiek XIX wyświecił sam jeden wiele idei nowych, powołał do życia cały szereg nauk dotąd nieznanych. Czyż zniesienie niewoli, czyż tolerancya, odrzucenie tortury, litość dla występnych, opieka nad więźniami, odrzucenie wiary w czary i potępienie procesów wytaczanych o czarodziejstwo, zagaszenie płomieni inkwizycyjnych, staranie się gorliwe o wychowanie ludu, czyż te idee nie były nowemi? A w katalogu nauk, czyż odrzucenie czterech elementów w Chemii nie było nowością? Czyż zastosowania osobliwe elektryczności, magnetyzmu i galwanizmu w naszym wieku nie były rzeczą nową? A zastosowanie siły pary pędzącéj okręty a zastosowanie światła w dagerotypie nie byłyż nowością? Nietylko wiek nasz ujrzał nową chemię i fizykę, powstały zupełnie nauki nowe, jak geologia, paleontologia, etnografia, filologia porównawcza, filozofia dziejów, filozofia historyi literatury, estetyka, krytyka estetyczna i t. d. i t. d. Dawniéj panowała rutyna dziś panuje nad światem umysłowym idea postępu; miejsce powagi zajął sąd indywidualny jednostki, w którym duch czasu przychodzi do uznania się w swojem jestestwie. Czy to umyślnie, czy niechcący, pomylił się nasz młody autor. Oburzono się na niego, ale nikt nie zrozumiał tego w czem pobłądził. Nikt mu nie objaśnił tego, że materyał i nauki i kunszta jest zawsze ten sam, musi być ten sam, bo sam człowiek stworzyć go nie może; człowiek, odkąd wyrobił sobie myśl i świadomość, rozważając siebie samego i swój stosunek do świata zewnętrznego, do ludzi i siebie samego wreszcie, zawsze porusza te same idee zasadnicze, dotyka się tych samych właściwości przyrodzenia ludzkiego określa te same charaktery jednostek. Sakuntala,

Fedra, Desdemona, przedstawiają zawsze typy kobiece. Właściwie nie idzie tu o przedmiot dzieła, ale o myśl dzieła, o kreacyą postaci jego stworzoną mocą indywidualnego ducha poety. Tragedye Sofokla i Eurypida, Kornela i Rasyna, Szekspira i Goëthego wystawiały te same prawie motywa, ale czyż dzieła Greków i nowoczesnych pisarzy były dlatego jednakie? Przedzielały je wieki, tysiące lat, a więcéj nad wieki i całe lat tysiące przedzielały je duch ludów, geniusz odrębny cywilizacyi i narodowości. Im słońce dziejów ludzkich wznosi się wyżéj, tem światło jego pada innym kątem na wyobrażenia ludzkie. Jeżeli człowiek w starości swojéj innym jest duchem swoim od tego czem był za młodu, to tem bardziéj zmieniają ludzi całe okresy dziejów; jedno pokolenie różne jest od drugiego, odrębne wyrabia sobie ideały, innemi patrzy oczami na świat i życie. Motywa są zawsze te same, ale ich kształty zawsze inne.

W chwili, w któréj pisał Kraszewski artykuł swój, wielu nie pojmowało u nas postępu i ruchu umysłowego. Dla wielu rzecz raz osądzona wydawała się niezmienną: nikt już jéj na nowo nie miał prawa wziąć pod rozbiór, nie godziło się tknąć myślą. Jeżeli np. Bentkowski napisał historyą literatury polskiéj, a przed nim Naruszewicz dzieje narodu polskiego, to potem patrzono z podziwieniem na Wiszniewskiego, lub Moraczewskiego, kiedy brali się do tejże saméj rzeczy. Na co to? albož nie mamy już dziejów literatury i historyi naszego kraju? Przychodzimy zawsze do tego, że nie pojmowano w owe czasy postępu i rozwoju myśli, oryginalności poglądu. Zdaje się, że i sam Kr., pisząc swój artykuł *o kradzieży literackiéj*, stał jeszcze na tem starem stanowisku ducha. Wspomina on np. Fausta Marlowa: Fausta Goëthego. Zapewne, że oba te dzieła wyszły były z farsy jarmarkowéj, odegrywanéj przez maryonetki na rynku miejskim w jakiejś budzie, a traktujący o czarnoksiężniku, co zaprzedał duszę dyabłu. Pomimo tego pokrewieństwa jednakże, byłyż dzieła Marlowa i Goëthego jednakie? Czyż dzieło późniejsze okradało pierwéj wyszłe? Zapewne, że materyał był ten sam w obu dramatach, ale główną myśl staréj legendy ludowéj, obaj poeci zrozumieli i wystawili inaczéj, wcielając w stary symbol myśl wcale nową, odpowiednią do swoich czasów. Było to tak samo zupełnie, jak się dzieje naprzykład z utworami dwóch snycerzy; oba pracują nad swojemi posągami, lepiąc je z jednéj i téj saméj gliny; posągi nieraz mają wyobrażać jednych bohaterów, ale dzieło każdego mistrza jest inne, odrębne, z fizyonomii posągu inny duch, inna myśl przeziera. Każden wiek patrzy na rzeczy inaczéj, nawet fakta są innemi dla jednego pokolenia a innemi dla drugiego.

Słusznie powiedział Bokl, że fakt sam, jak pieniądz nie ma wewnętrznéj wartości, ceni się tylko, kiedy rozważamy go w stosunku do czegoś innego. Z faktów robimy wnioski, przychodzimy od nich do idei, do zasady, do prawa, które niemi rządzi. Smutna téż byłaby zaprawdę myśl o takiéj kolei dziejów ludzkości, gdyby ta w tych dziejach, jak wiewiórka w klatce, wiecznie kręciła się w jakiemś zaklętem kole i to ciężką, a próżną pracą, nie wyrobiła sobie, nawet w ciągu całych wieków, ani jednéj myśli nowéj, ani jednego wyższego poglądu.

Nasza społeczność była tak jeszcze zacofana, że polemizowano w Tygodniku Pet. o to, czy jest postęp w dziejach ludzkich? Zaprzeczał go B. Dołęga, dopuszczał Józef Przecławski, chociaż tylko w samym świecie chrześciańskim. Najzabawniejszą rzeczą zapewne było to, że pisano o tem tak jakby ta kwestya po raz pierwszy dopiero wystąpiła na plac i uległa roztrząsaniu dopiero w artykule o *Przyszłości rodzaju ludzkiego* a nie u Bakona, Leibnitza, Herdera, Lessynga i Condorcet'a.

Wracając do Krasz. muszę powiedzieć, że wziętość jego, jego powaga literacka, jego *sława* poczęła się od tego artykułu prawie. Przestano traktować go lekko, poczęto nawet obawiać się jego sądu satyrycznego. On, ze swojéj strony, jakby rozumiejąc to, że publiczność naszą należy koniecznie najsamprzód podrażnić trochę, trochę zadziwić, żeby ją w końcu przyciągnąć do siebie, Krasz. napisał w Tygodniku kilka artykułów, pod jednym ogólnym tytułem: *Asmodeusz* (w Paryżu) *w roku 1837*. Szatan wędruje z don Kleofasem po Paryżu i wydaje sąd o nowych wynalazkach, które mu pokazuje jego przewodnik. Wszystko ulega tu ostréj krytyce, któréj inaczéj nie można sobie wytłomaczyć, jak tylko dążnością odstręczenia nas od rozmiłowania się we francuzczyźnie, a skłonienia do rzeczy swojskich. W następnym roku M. Grabowski napisał *o literaturze szalonéj*, najpewniéj w tymże samym celu. Wszystkoby to było jeszcze jako tako, gdyby nieustawiczne bicie na postęp, więcéj jeszcze, bo na samą ideę postępu. „Prawdaż to, pyta Asmodeusz, że się wam zdaje żeście niezmiernie zmądrzeli, co jest, między nami mówiąc, nieomylnym dowodem głupstwa; prawdaż to, żeście uwierzyli w ciągłe doskonalenie się ludzi, z którego zbudowaliście systemat i, na mocy jego, wywracacie wszystko: dawne wynalazki, formy, sposoby, smaki, nie mając czasem co na ich miejscu położyć? Słowem, że chcecie być sławni ze zrujnowania gmachu doświadczenia, które wam ojcowie wasi, jako skarb najdroższy zostawili! Prawdaż to? Don Kleofas nic nie odpowiada Asmodeuszowi, nie mówi mu nawet tego, że wiek XIX nietyle wierzy w doskonalenie się *ludzi*, ile raczej w doskonalenie się *ludzkości*, w czem zapewne wielka jest różnica: że doświadczenie w dziejach jest tylko pewnym momentem życia ludzkości, która ustawicznie się przeistacza, i idzie daléj, coraz naprzód, otrząsając się ciągle jak drzewo z liści powiędłych i uschłych aby się okryć zdrową i świeżą zielenią. Gdyby ludzkość trzymała się stale tego, co raz sobie zdobyła, wiecznie mielibyśmy niewolę, wiecznie zajmowalibyśmy się astrologią i alchemią, palilibyśmy na stosach czarowników i heretyków, wiecznie hamowalibyśmy bieg myśli ludzkiéj, stosując ją do pewnych autorytetów. Kolumb nie odkryłby Ameryki, Kopernik i Galileusz nie daliby nam prawdziwego systematu świata, Bekkaria nie napisałby dzieła o Występkach i Karach, Verri o torturze, do dziś dnia męczonoby i palono żywcem ludzi na stosach, każdy wielki człowiek byłby czarownikiem, każda myśl wielka byłaby prześladowaną; nie znalibyśmy ochronek, szkółek, opieki nad więźniami i t. d. i t. d. Ludzie pojedynczo wzięci mogą być nielepsi niż byli dawniéj, ale duch ludzkości całéj wydoskonalił się, stał się lepszym, wyższym, dążącym do wznioślejszych celów, do wielkiéj dziś nie odgadnionéj nam jeszcze przyszłości!

Siła moralności zbiorowéj jest potężna. W rzeczy cywilizacyi patrzéć należy nie na jednostki a na masy. Don Kleofas nie mówi tego Asmodeuszowi ale woli wskazać mu na siłę pary, która tyle maszyn obraca na około, tyle czasu oszczędza. Asmodeusz pyta go z kolei: A powiedzcie mi wprzódy jakeście użyli oszczędzonych rzeczy, wówczas będę się dziwił i chwalił. Siłę ludzką i czas ludzki, zbytkujące, gdzieżeście obrócili? Dalijżeście lepsze jakie zatrudnienie od dawnych, bardziéj szlachetne, korzystniejsze dla ich szczęścia? Spojrzno tylko w okolice Lyonu, nie sąć to tłumy głodnych i biednych robotników, których bankructwo Ameryki, a w części niedostatek zatrudnienia, próżniactwa, pijaństwa i rozbojów uczą! Jestże to użytek z oszczędzonych sił czasu? Jak na Asmodeusza było to może dowcipnie, ale to pewno, że dla nas nie tego wcale było potrzeba, nas nie odstręczać od postępu a zachęcać doń należało. Wydawca Tygodnika wielce chwalił tę krytykę postępu, a nam się zdaje, że młody autor chciał być tylko oryginalnym, jak w poprzednim artykule. Nie chcemy i nie możemy widziéć przyczyny kierunku tego artykułu w zacofaniu się autora, jakkolwiek wówczas zasady jego teoretyczne mogły były być dość jeszcze chwiejne. Pisząc o Brukowych wiadomościach wskazywał na zastój, na zacofanie się społeczności, a w Asmodeuszu pokazał się również zacofanym! Uległ był może tylko insynuacyi redakcyi Tygodnika. Tak tylko chyba możnaby było sobie objaśnić ten niekonsekwenty artykuł.

Pisząc o Kraszewskim wspominaliśmy tylko stale o tem uznaniu lub naganie jakie on budził w naszych prowincyach, nie wspomnieliśmy nic o wrażeniu, jakiego dokonał w Warszawie. To miasto nie ma jakoś szczęścia do ocenienia pojawiających się geniuszów; dowodzi tego los Malczewskiego, krytyki Poezyi Mickiewicza, a nareszcie ocena Kraszewskiego przy pojawieniu się jego, równie jak i M. Grabowskiego. Już to Warszawa jako stolica, lubi drwić sobie z biednych parafianów. A ciekawe były, w swoim rodzaju, krytyki Gazety Warszawskiéj pisane na Kraszewskiego. Tak naprzykład już w r. 1840, w dziesięć lat po wystąpieniu naszego autora na pole piśmiennictwa, ktoś tam w Gaz War. gorąco dziękował za to Bogu, że Warszawa nie ma u siebie Kraszewskiego! Winszujemy. Jak się wam podoba taka naiwność? Trudno uwierzyć nawet w szczerość podobnego zdania, bo lekceważąc niby tego pisarza, jego jednego przecież miano tylko wtedy ustawicznie na ustach! Dość jednakże, dla chwały Kraszewskiego, powiedzieć to, że w Warszawie nawet umieli w końcu ocenić go tacy krytycy, jakim był Aleks. Tyszyński. Do jego wystąpienia jednakże brakło u nas krytyki, takiéj przynajmniéj, któraby nauczyła masę czytających tego, czego miała ona wymagać od utworów literatury, jak się na nie należało jéj zapatrywać, któraby, wreszcie, dała jéj zrozumiéć piękno, jego naturę, i warunki. Otóż dla dokonania tego Kraszewski sam podjął się tego wielkiego zadania w Tygodniku. A wielka pora była już po temu, bo nie można było ścierpiéć dłużéj niedorzecznych i pełnych przesady, wymuszonych frazesów takich krytyków, jakim naprzykład okazał się był, w tem piśmie, p. T. B. (Teofil Bukar). Należało było najsamprzód dać odprawę téj mierności. Pan T. B. wpadłszy raz w entuzyastyczny zapał, tak odmalował czytelnikom Tyg. poezyą: „poezya głosi on, ma głowę w obłokach, nogi macza w umie ludzkim, a pępem do nieba jest uczepioną!“ Z powodu téj osobliwszéj definicyi, Kraszewski zrobił uwagę dowcipną w samymże Tygodniku, że dziwi się temu jak poezya może wyżyć, zostając w tak niewygodnem położeniu, tembardziéj, że sądząc z tego określenia pana T. B. możnaby było wnosić, że jeszcze całkowicie na świat nie przyszła. Po téj odprawie, p. T. B. dąsał się na Tyg. Pet., na długo przestał pisywać do téj gazety i tylko pod pseudonimem Szczeromira Prawdzickiego wystąpił przeciw artykułowi *o kradzieży literackiéj*, ale głos jego nie znalazł już miejsca w szpaltach Tygodnika. Zwykle bowiem redakcye kłaniają się tylko wschodzącemu słońcu.

Wielką zasługą Kraszewskiego była jego kollaboracya w Tyg. Pet. jako oficyalnego krytyka. Było to właśnie wtedy, kiedy w literaturze naszéj poczęły wychodzić coraz to nowe dzieła, kiedy życie

w niéj poczęło się objawiać na nowo. Nie przepuścił on żadnego znakomitego dzieła, w czem mu dopomagać począł M. Grabowski. Różnica pomiędzy nimi była taka, że podczas, kiedy Grabowski wykładał wprost swoje zdanie o dziele nowem, zwykle nie motywując swojego sądu, Kraszewski sięgał głębiéj w rzecz zagajoną, porównywał ją z innemi podobnemi płodami w obcych literaturach.

Krytyki te były krótkie, zwięzłe, takie właśnie, jakie były najwłaściwsze dla mało rozwiniętéj jeszcze inteligencyi ogółu. Z nich jednakże wiele można było nauczyć się i pod względem estetyki i pod względem dziejów literatury. W tym duchu wydał on swoje studya literackie, w jednym tomie, a potem swoje Nowe studya literackie, w dwóch tomach. Takież miały znaczenie i Wędrówki literackie Kraszewskiego (3 tomy), w których oprócz powiastek jak *Maciek i Maciuś*, *Śmierć szaleńca*, *Życie sierot*, były rozprawki literackie, drobne, ale dowcipne i z życiem napisane, jak np. *ksiądz Baka*, Hogarth, nieboszczyk Hoffmann, lub szkice, jak: Bedlam, Uczta Żebraka, albo artykuły moralno-filozoficzne jak *Galileizm*, drukowany poprzednio w Tygodniku. Umiał on nawet bibliografii nadać zajmującą formę jak to było np. w artykule: *Przechadzka po bibliotece*. Rozdział p. t. *Pielgrzymka po stolicach* objawiał wielki postęp w talencie Kraszewskiego, lubo jeszcze nie stanął on tu na *swoim gruncie* t. j. na powieści, malującéj naszą społeczność. Następnie wyrzekł się już podobnych kosmopolitycznych szkiców i stał się wyłącznie malarzem naszego życia społecznego. Nie udawały mu się obrazy historyczne, ale skoro tylko przeniósł swój pędzel na la *bleaux de genre*, z przeszłych nawet czasów, jak np. było w artykule jego zamieszczonym najprzód w Tygodniku p. t. *Dziady i baby*, malowidło wychodziło zawsze żywo i ponętnie, wierne naturze i pełne wyższego dowcipu.

Oprócz artykułów belletrystycznych zajmowały go rzeczy czysto naukowe, jak mamy tego dowód w projekcie napisania gramatyki historyczno porównawczéj słowiańskiéj mowy; o projekcie tym mamy rozprawkę w Tygodniku (1837 N. 57). Nie tu jednakże miejsce rozprzestrzeniać się o nim. Widać tylko, że umysł Kraszewskiego był szczególnie wrażliwy w tym okresie czasu; obce dzieła nasuwały mu myśl na to, że i u nas mogłyby powstać podobne. Gramatyka historyczna mowy niemieckiéj, Jakóba Grimma najpewniéj nasunęła mu była myśl porównawczéj gramatyki słowiańskiéj, jakkolwiek rzecz ta potrzebowała długich i gruntownych studyów i niczem postronnem nierozerwanéj uwagi, jaką widzimy u Grimma, pracującego wyłącznie nad starożytnością Niemiec, przejawiającą się bądź w bajce, bądź w mowie, bądź w prawie zwyczajowem. Zadaniem życia Kraszewskiego miała być głównie *powieść obyczajowa* i im więcéj to pojmował, tem mniéj tykał cudzych dla nas przedmiotów. Pięknie pisał wiersze, wydał dwa tomiki *poezyi*, ale jakby dla pokazania tylko tego, że i w tym zawodzie nie ustąpiłby innym. O jego trylogii *Anofielas* powimy później. Co w dziełach Kraszewskiego poczęło coraz więcéj rzucać się w oczy każdemu, to jego zmysł artystyczny. Umiał on malować żywo obrazy kraju. W jego Wspomnieniach Polesia, Wołynia i Litwy, odtwarzał wybornie pejzaże tych okolic, czy to błota poleskie, czy wesołe łany Wołyńskie, czy jarmark chłopski w Jankówce, czy przystań żydowskiego handlu w Pińsku, czy wreszcie grupy oryginalne syrnickiéj, chodaczkowéj szlachty. Do czego się tylko dotknął znać było wszędzie żywe poczucie malarskie przedmiotu i oddanie go artystyczne. Krasz. zwiedził po raz pierwszy Warszawę, jeżeli się nie mylę, w 1838 roku; tu go najwięcéj zajęły pracownie artystów-malarzy; nawet w artykule do Tygodnika zdał sprawę z wrażenia, jakie sprawiły na nim dzieła Suchodolskiego. Zawiązała się nawet pomiędzy nim, a tym artystą, żywa sympatya. Suchodolski odmalował dla niego późniéj obraz piękny, wyobrażający ustęp z Witoloraudy, mianowicie spalenie na stosie bohatera litewskiego; artysta celuje tu głównie swoim ślicznym efektowym światłocieniem; płomienie stosu, oświetlają wybornie w pół zmroku grupy pogrzebowego orszaku, a w górze, we mgle, widać w powietrzu, wzlatujący konno na *dungus* (niebo) duch nieboszczyka, i chyże cienie jego psów gończych i lot myśliwskich sokołów.

Mówiliśmy przedtem o stosunku Kraszewskiego, jako poczynającego zawód pisarski autora, do otaczającego go ogółu czytelników; posługiwaliśmy się w téj mierze, zwierzeniami się jego w Powieści bez tytułu. Jeżeli zatrzymamy się teraz na roku 1840, w pięć lat po przesiedleniu się jego na Wołyń z Wilna, zadamy sobie znowu pytanie, jak oceniono pisarza tego na wsi, w jego nowéj, wołyńskiéj siedzibie. Tu już posłuży nam za materyał, nie ustęp z powieści, z którego moglibyśmy się tylko domyślać pozycyi samego autora, a ustęp, z jego własnych pamiętników, przesłanych, w formie listu do redakcyi Tygodnika Petersburgskiego. Dziś notatki te wydadzą się, pewno, ciekawym materyałem do życia naszego autora, któren, jak każdy niepospolity człowiek, przechodził po drodze życia niepoznany, nieoceniony od najbliższych, z gałązką cierniu, zamiast lauru, u skroni. Tak rzecz tę pojmował i sam Kraszewski, kiedy, trochę wcześniéj, pisał w petersburskiéj gazecie: *rzecz o slawie literackiéj*. Jego artykuł, pod napisem galileizm (los niepoznanych, niezrozumianych Galileuszów) toż samo wyrażał. Szczęśliwy autor, który przed śmiercią jeszcze doczeka się uznania od swoich i wieńca nagrody, chociażby zarobionego sobie krwawą pracą pół wiekowego trudu, stokroć szczęśliwszy, jeżeli doczeka się go od pokolenia, które wychował własną pracą i oświecił światłem własnéj myśli. Nie napróżno powiedzieliśmy wyżéj, że kiedyś, w dziejach naszych literatury i oświaty, jaśnieć będzie okres Kraszewskiego, z większem pewno prawem do tego imienia niż okresy Stanisławowski i okres Czackiego. Przechodzimy teraz do wspomnianego Listu z Wyłynia do redaktora Tygodnika. Przytaczamy go *in extenso*, w tym bowiem artykule, zajmuje nas głównie, strona biograficzna naszego autora; wszak nic z życia Kraszewskiego nie może być dla nas obojętnem. Jeżeli Lewes w dwóch grubych tomach napisał dla anglików, dzieje żywota i utworów niemieckiego pisarza (Goëthego), to dlaczegóż przydłuższe ustępy z prywatnego życia naszego własnego, zasłużonego męża, miałyby zastraszać sobą nakładców, redaktorów, a osobliwie czytelników naszych? Chcemy temu wierzyć, że jeżeli mogło być tak *kiedyś*, to *dziś* tak już być nie może, a przynajmniéj być nie powinno.

(d. c. n).

Smutna dziewczyna.

I.

Tam gada ruczaj w objęciach łąki,
Opodal duma mgłą siwy bór.
Tu polne w niebie dzwonią skowronki,
I wzdycha wietrzyk, do chmur, do gór.

Dziewica w cierni co dnia u sioła,
Dłoń załamuje i patrzy w świat,
Wieczny jéj uśmiech, przyrosł do czoła
I zbladł na wieki jéj życia kwiat.

Ah! darmo, darmo, wodzę oczyma,
I tam gdzie pole, i tam gdzie zdrój,
Nigdzie go nie ma, nie ma i nie ma,
Ah! gdzie ty, gdzie ty Jasieńku mój?

Taką piosenką co dzień świat budzi,
Lecz na pustyni istny to głos!
Odpowie chyba marny żal ludzi!
Lub puste echo z doliny ros.

II.

W nocy ubranéj w blaski księżyca,
Przyszedł do miléj Jasieńka duch,
Wesołe oczy, jasne miał lica,
Tak głosem rzewnym zadzwoni w słuch.

Droga! Bóg nasz niedolę kończy
Razem oboje zabiera nas,
Nikt nas na świecie, nikt nie rozłączy,
Maryniu moja, pójdziemy wraz.

I wyprowadził duszę jéj z ciała
I ulecieli w niebianów kraj,
Cudnie gwiazdami noc zaśpiewała,
I w arfy swoje zagrał im raj.

Serc nienapróżno związki się tworzą,
Nie próżno dusze łączą się dwie,
Co złączy miłość za wolą Bożą,
To nadaremnie moc ludzka rwie.

Tomasz Olizarowski.

FLAMINIA.

POWIEŚĆ

przez

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg).

Napróżno pogodny uśmiech Flaminii obiecywał mu wszystko, czego tylko w duszy pragnął, napróżno patrzały na niego z najżywszem uczuciem ciemnoszafirowe oczy; nawet biała, drobna rączka napróżno ścisnęła go przy odbieraniu bukietu, Maryan nie mógł się pozbyć jakiegoś przykrego uczucia, które jak lód zimny zaciężyło na jego sercu...

Wreszcie zdobyła się pani Apolonia na zapytanie.

— W tym dniu wzięłaś pani na siebie żałobę, rzekła, czy odebrałaś jaką smutną wiadomość?

Widać było po twarzy Flaminii, że takiego zapytania niecierpliwie oczekiwała.

— Dzień moich urodzin, odpowiedziała z lekką chmurką smutku na czole, jest oraz rocznicą śmierci moich rodziców.

Gdy ostatnie słowo wymawiała, widać było wyraźnie jak nagły kurcz bolesny przeszedł po jéj twarzy a oczy na chwilę napełniły się łzami.

Sprawiło to pauzę milczenia. Obecni widząc to nie mieli odwagi zapytać ją o bliższe wyjaśnienie. Zresztą rocznica śmierci mogła rzeczywiście wywołać w sercu sieroty różne bolesne wspomnienia. Trzeba było więc uszanować tę boleść i o nic więcéj nie pytać.

Nastąpiła znowu niemiła pauza. Dalszéj rozmo-

wy trudno było nawiązać. Wrażenie żałoby mimo wyjaśnienia nie mogło się jeszcze zatrzéć. Napróżno szukano słów i tematu, aż wreszcie ozwała się staruszka:

— Prosiłam cię Flaminio, abyś choć dzisiaj zaniechała tego dziwactwa swego. Straszysz tylko wszystkich żałobą. Gdy obaczę stado kruków, to zaraz przychodzi mi na myśl, że nie na próżno przyleciały.

Staruszka posmutniała. Chciał ten smutek odwrócić pan Salezy.

— Świadczy to tylko o dobrem sercu córki, ozwał się, jeżeli w ten sposób czci pamięć swoich rodziców.

A zwracając się do Flaminii zapytał:

— Czy w bardzo młodych latach straciłaś pani rodziców?

Łzy, które się na chwilę cofnęły, napełniły znowu szafirowe oczy Flaminii.

— Dzień moich urodzin, odrzekła prawie z łkaniem, był oraz dniem śmierci moich rodziców.

I bladość śmiertelna pokryła jéj twarz.

— Dajmy już temu pokój, ozwała się staruszka, bo jak zaczniemy o śmierci mówić, gotowa na prawdę do nas zawitać. A ja przyznam się otwarcie, że boję się tego kościanego gościa.

Po tych słowach Flaminii i staruszki nastąpiła znowu pauza, dla wszystkich bardzo przykra.

Cóż mogły znaczyć słowa Flaminii? Dla czego staruszka nie pozwoliła dalej mówić o tem?

Maryan wpatrzył się w twarz Flaminii, która z wrażeń swoich i wspomnień usiłowała wrócić do dawnéj pogody. Przywołała znowu swój uśmiech dawny a zwracając się do Maryana rzekła do niego:

— Pan zapewne nie zapomniałeś, że dzisiaj mamy z okien naszych oglądać historyczne weneckie widowisko... przyjazd króla karnawału?

— Przyznam się pani, odparł smutno Maryan, że obaczywszy panią w żałobie, zupełnie o karnawale i jego królu zapomniałem.

Flaminia uśmiechnęła się boleśnie.

— Dla naszych marzeń i nadziei, rzekła nie zawadzi domieszać trochę goryczy. W takim bowiem razie łatwiéj nam będzie znieść późniejsze nasze boleści i rozczarowania.

— Dlaczegoż w tym dniu mówisz pani o boleściach i rozczarowaniach?

— Któż wie, co komu przeznaczone.

Piękny rumieniec ozdobił teraz twarz Flaminii, a kształtna jéj pierś podniosła się głębokiem westchnieniem.

Ślicznie, uroczo wyglądała w téj chwili, Stała zarumieniona, z lekką mgłą smutku na czole, z oczami spuszczonemi w ziemię przed Maryanem jakby od niego wyczekiwała wyroku przeznaczeń swoich...

Ale ta chwila nie była sposobną do takiego wyroku. Cztery pary oczu patrzały na nich, a w pokoju była cisza, dla kochających się tak nieznośna...

Przerwał tę ciszę hrabia, Wszedł do pokoju z ogromnym bukietem. Obaczywszy Flaminię w żałobie, stanął jak wryty.

— *Che diavolo*! zawołał z włoską swobodą, cóż pani znowu wyprawiasz nam za maskaradę? Jeszcze król Pantalon nie przyjechał do Wenecyi, jeszcze maskować się nie można.

Wytłomaczyła mu w krótkich słowach tę żałobę Flaminii Eliza.

— A... A... mówił dalej hrabia wręczając Flaminii bukiet. życzę pani... aby dzień dzisiejszy stał się dla pani rocznicą... zmartwychwstania tego wszystkiego, co dotąd marnie w wiosennych kwiatach marzenia więdło i usychało...

— A ja, odpowiedziała z uśmiechem Flaminia, życzę panu wzajemnie, aby na korzyść osób drugich w sercu pana żadne z owych wspomnień nie zmartwychwstało, któremi ongi się zachwycałeś.

— Bardzo trafnie i serdecznie powiedziała to moja przyjaciołka, wtrąciła Eliza ze złośliwym do hrabiego uśmiechem.

Hrabia wyszedł na chwilę z siodła ale wnet uzyskał równowagę.

— Wszak ogłosiłem kredę i zlikwidowałem, odpowiedział, a za wykroczenia dawnéj firmy nie jestem odpowiedzialny.

— I rozpoczynasz pan nowy handel, dodała z śmiechem Eliza.

— Dla dobrego dowcipu drażnisz pani bolesnie moje serce.

— Aby je potem z troskliwością siostry miłosierdzia pielęgnować.

— Nim to nastąpi przypatrzmy się trochę rzeczom światowym.

Hrabia wymawiał te słowa z pewnem niezadowoleniem a nawet z wyrzutem spojrzał na Elizę. On w tym dniu tyle przyjemnych rzeczy sobie obiecywał, w tym dniu chciał sięgnąć uroczyście po jéj rękę, a tu spotkał z jedną z owych słodko zatrutych strzałek ironii i sarkazmu, które go od niejakiego czasu tak srogo prześladują. Wprawdzie podana drobna rączka Elizy i rzucone namiętne czarnych oczu spojrzenie, rozbroiło go zupełnie a nawet słodko serce jego napowrót rozkołysało, ale było to tylko owo nieustanne wahanie się na desce zawieszonéj nad przepaścią, nad którą się na przemianę podnosił i w którą znowu zapadał...

Godząc się jednak z tem co jest a spodziewając się lepszego zbliżył się hrabia z dobrą miną do okna, pod którem zaczęły się już gromadzić liczne tłumy ludu, aby obaczyć uroczysty wjazd króla karnawału.

Wszyscy poszli za jego przykładem. Ponieważ jedno okno dla wszystkich nie wystarczyło, otworzyła Flaminia drugi pokój o dwóch oknach, do którego weszła z Elizą: Maryan i Hrabia pospieszyli za niemi.

Podczas gdy hrabia z Elizą w jednem oknie się ustawił i całą historyą weneckiego karnawału jéj tłomaczył, w drugiem oknie stanął Maryan przy Flaminii i niejaki czas oboje w milczeniu na tłumy pod oknem i na morze patrzyli.

Był to widok szczególny. Tysiączne tłumy zaległy cały brzeg kamienny, przy schodzących do morza marmurowych schodach ustawiły się różne towarzystwa masek z maskowaną muzyką i godłami swemi, aby wjeżdżającego do miasta króla Pantalona z całą okazałością przyjąć i przywitać. Setki gondoli i barek pływały tam i nazad na wodzie oczekując wjazdu jego królewskiéj mości. Wszystkie podwyższone miejsca, schody przy kolumnach lwa i św. Jerzego, kandelabry gazowe, dachy i wieże przyległe obsadzone były ciekawym tłumem, który z zapartym oddechem patrzał na morze, czy rychło wychyli się z toni smaragdowéj bandera zielono-żółta króla karnawału...

A cały widok wody i ruszających się na falach gondoli, statków i okrętów, na dalszym planie kościoły i pałace do koła falami oblane, wszystko to osłonione było ową lekką przezroczystą mgłą sinego koloru, którą rano Maryan z okna swego podziwiał.

Osłona ta mglista sprawiała szczególne wrażenie. Dalsze gondole rysowały się na téj mgle słabo i niewyraźnie i były podobne do przezroczystych widm duchów pływających po chmurach... Fantastyczne za niemi zarysy kościołów, i kolumn pałacowych wyglądały jak lekko naszkicowane tło w obrazie, którego jeszcze nie wykończył artysta...

Flaminia i Maryan wpatrzyli się w ten czarowny widok i przelali w niego wszystkie swoje sny i marzenia... gdy nagle strzały z dział dały znać że król jedzie.

Jakoż okrzyki rzeszy kilkudziesięcio tysiącznéj rozległy się dokoła, a na smaragdowych falach Adryatyku okazała się wspaniała, złotem lśniąca łódź króla Pantalona...

Poważnie przy huku dział i okrzyku ludu zbliżał się król do marmurowych brzegów miasta, gdzie czekał na niego tron okazały, lśniący od złota i jedwabiu, niesiony przez pięćdziesięciu niewolników.

Stowarzyszenie masek, muzyki, strzały witały króla pląsów i wesołości, który w mieście miał zamieszkać i rządzić przez dni dziesięć. Codziennie aż do popielca miały się pod jego rządami odbywać tańce, maskarady, biesiady i rozliczne inne zabawy publiczne.

Gdy tak król ze swymi ministrami i błaznami na tronie zasiadał a lud ochoczy wierno-poddańcze na cześć jego wznosił okrzyki, działa grzmiały a muzyka wesoło się odzywała, na dalszym planie morza jakby z tylnych szeregów orszaku królewskiego, wymknęła się jedna łódź i powoli w przeciwnym zaczęła płynąć kierunku. Sina mgła przesłoniła ją lekko, a w téj przesłonie znikły fale morza i łódź zdawała się zwolna sunąć po obłokach...

Flaminia obaczyła tę łódź i wskazała na nią ręką. Maryan spojrzał na nią.

Był to widok szczególnie poetyczny. Na łodzi innego od innych kształtu stał nieruchomie jeden człowiek w długiéj białéj koszuli na przodzie. Za nim po bokach z tyłu i przodu stało czterech ludzi w czerwonem ubraniu. Dwóch wioślarzy prowadziło łódź powoli i cicho...

Wszystko to wyglądało jak lekko naszkicowane widmo...

Maryan wziął je za łódź z maskami.

— Dlaczego, rzekł do Flaminii, odłącza się ta łódź od królewskiego orszaku?

— To... pogrzeb, odpowiedziała Flaminia.

Maryan nie słyszał prawie dalszego wrzasku masek i trąb karnawałowych, a Flaminia oparła głowę o framugę okna i smutnem okiem szła za łodzią niosącą nieboszczyka na cichy śród fal morskich odpoczynek...

— Szczególny to widok, ozwał się Maryan, obraz zaprawdę poetyczny. Na przodzie huczy karnawał szalony... a tam po za nim wymyka się człowiek syt tego świata i cicho mknie w progi wieczności...

— Ciekawam co on tam wiezie z sobą, rzekła Flaminia, czy same tylko ciernie i boleści czy także róże i roskosze?...

— Zdaje się że jedno i drugie...

— Tak... bo z obojga składa się życie ludzkie.

Nastąpiła pauza. Maryan zbliżył się do Flaminii i wziął ją za rękę.

— Zdaje mi się, rzekł głosem wrruszonym, że w życiu pani nie wiele było dotąd kwiatów...

— Prawie żadnych, cicho odpowiedziała Flaminia.

— Czy pozwolisz pani aby od tej chwili dla mnie i dla pani zeszedł choć jeden kwiatek lepszej nadziei...

Flaminia nabrała tchu w piersi, ale z ust jéj nie mogło wyjść suche słowo. Ręka jéj tylko zadrżała w dłoni Maryana.

— Więc nie odmawiasz mi pani tego szczęścia, które sobie tak słodko wymarzyłem? mówił Maryan dalej, aby róże i ciernię naszego życia wspólnie się splotły?...

Flaminia pochyliła twarz zarumienioną a Maryan zaledwie mógł dosłyszéć wyszeptane słowo:

— Nie!

Pochwycił drobną, gorącą w tej chwili rączkę i do ust przycisnął.

— O dziękuję pani za to szczęście, zawołał wzruszony-

Flaminia nic nie odpowiedziała ale serce jéj za to biło głośno a Maryan zrozumiał mowę jego..

Nastąpiła uroczysta chwila milczenia.

— W rocznicę dnia, mówił dalej szczęśliwy Maryan w którym pani rodziców utraciła... ofiaruję pani serce, które cię kochać nie przestanie...

Flaminia ścisnęła Maryana goraco za rękę.

— Ach, rocznica ta, rzekła po chwili, była zawsze dla mnie tak straszna, zawsze musiałam ją odchorować... z wyjątkiem dzisiejszéj rocznicy...

— Dlaczegóż ta rocznica była dla pani tak straszna? nieśmiałym głosem i nie bez pewnéj obawy zapytał Maryan.

— Bo rocznica ta stawia mi przed oczy obraz, na widok którego krew ścina się w żyłach i włos siwieje!...

— Tak straszny obraz.

— Dzisiaj... mogę przynajmniej mówić o nim, inaczéj na samo wspomnienie padłabym zemdlona, jak to już nieraz się stało, Dla tego babunia niedaje nawet nikomu wspominać o tem!

Nastąpiła krótka pauza.

Szczęśliwy aż do zachwycenia Maryan uczuł nagle w głębi serca jakąś nieokreśloną trwogę. Uczucie to dziwne odpowiadało zupełnie owemu obrazowi, na jaki przed chwilą patrzała na którym przed królem karnawału i tańców w sali odbiło się widmo... pogrzebu.

— Powiadasz pani, rzekł po chwili niepewnym głosem, że dzisiaj możesz już o tem strasznem wydarzeniu mówić... czy nieuważałabyś pani za stosowne mnie coś o tém powiedziéć?

Flaminia przyłożyła rękę do czoła i tak chwilę milczała.

— Nie! rzekła z dziwnem wzruszeniem, widzę że jeszcze nie mogę o tem mówić... Ale dam panu pismo mego chrzestnego ojca. Przeczytasz pan.

Rzekłszy to otworzyła szufladkę zbiorka i wyjęła małą w czarny aksamit oprawną szkatułkę. Wydobywszy z niéj spory zeszyt papieru wcisnęła go do rąk Maryanowi a sama szybko oddaliła się do swego pokoiku.

XXV.

Gdy Maryan w ręku poczuł papier, który miał mu tak ciekawą wyjaśnić zagadkę i rozświecić przed nim przeszłość kobiety, która miała już pozostać na zawsze towarzyszką jego życia, doznał tak dziwnego uczucia, na jakie w mowie ludzkiej bynajmniej nie ma wyrazu.

Kochał już Flaminią, wyznał to jej i postanowił nie cofnąć się już od tego wyznania mimo pewnych niewyjaśnionych rzeczy z dziecięcego jej wieku, o których mianowicie rodzice jego z widoczną obawą wspominali. Uczucie jego silniejsze było od wszelkich ubocznych względów, to też śmiało przystąpił do wyznania, na które żadne późniejsze wyjaśnienia już wpłynąć nie mogły.

Teraz nagle, w najwyższéj chwili życia, gdy struny serca podniosły się do wysokiego nastroju i nieopisanem szczęściem całą jego duszę napełniły... teraz właśnie dostał do ręki papier, który wszystko miał przed nim odsłonić...

Cóżby to mogło być? Może zawarta jest tam tajemnica, która dzisiejsze szczęście jego zburzyć może? Może znajdzie tam rzeczy, które przy najsilniejszem uczuciu sprawią w duszy pewien niesmak i szczęście jego wymarzone zaprawią goryczą? Są rzeczy które śmiało i otwarcie dzisiaj nazywamy przesądem, ale jakim sposobem przetrwał ten przesąd kilka wieków i dotąd mimo wszelkich teoryi rozumowych tak trudno im otrząsnąć się z tego przesądu? Miałżeby to być jeden z owych wiekowych przesądów, którego wprawdzie nie uznajemy w zasadzie ale w praktyce życia unikamy go starannie, aby się z nim nigdzie nie zetknąć?....

Takie myśli przebiegały po głowie Maryana, gdy w ręku trzymał straszne wyznanie kobiety, o którem sama powiedziała że od niego krew w żyłach się ścina, a włosy siwieją... bo przecież mimo to on nie mógł przestać ją kochać, on musiałby ją kochać nawet wtedy gdyby tajemnica zawarta w tym papierze przechodziła wszelkie najstraszniejsze nawet domysły...

Maryan odetchnął całą piersią rozerwał papier aby choć okiem rzucić na karty, które dla jego przyszłości mogły się stać strasznym wyrokiem... gdy przy drugiem oknie nagle rozmowa między Elizą a hrabiną ucichła. Eliza z niezwykłym wyrazem na twarzy wyszła szybko z pokoju, a hrabia zbliżył się w tej chwili do Maryana.

Maryan złożył szybko papier i schował do kieszeni. Zdaje się że w tej chwili nie błogosławił wcale człowiekowi, który teraz stał przy nim z twarzą ożywioną, jakby zabierał się do długiej rozmowy...,

A była wszelka obawa że tak się stanie. Podczas rozmowy Maryana z Flaminią przy jednem oknie, toczyła się taka sama rozmowa przy oknie drugiem między Elizą a hrabią i jak się zdaje takie same miała zakończenie.

Przeczucie takie nie omyliło Maryana. Hrabia przystąpił do niego poufnie i zaraz na wstępie ozwał się w te słowa:

— Łatwiejszą i niezawodnie krótszą będę miał rozmowę z panem niżeli miałem z panią Elizą lub szanownemi jej rodzicami. My w obec siebie niepotrzebujemy nic w bawełnę obwijać tembardziéj że obaj jesteśmy w jedném i tém samém położeniu. Nieprawda, że sprawę swego serca doprowadziłeś pan dzisiaj szczęśliwie do końca?.- Widziałem to na drugiej stronie, a twarz pana świadczy że się nie mylę.

Maryan ścisnął zęby, aby się zmusić do cierpliwości, która w tej chwili wiele go kosztowała. Mimo tak wyjątkowego nastroju nie mógł się jednak wstrzymać od małego przycinku.

— Powiadasz pan, rzekł z uśmiechem, że widziałeś dobrze co się na drugiéj stronie dzieje, a do tego zaraz dodajesz że w podobném także byłeś położeniu. W tych słowach jest widoczna sprzeczność. Ja wyznaję, że nic nie mogłem widziéć, co się przy drugiem oknie dzieje, a jeżeli pan nas mogłeś obserwować, to dowodzi że w podobnem położeniu nie byłeś.

— Nie przeczę temu, odparł hrabia spokojnie, bo pan zapewne po raz pierwszy przed swoim mistrzem lekcyą zadaną recytowałeś, a ja powtarzam już ją ze sto razy. Nabyłem już więc pewnej wprawy.

— Czy Eliza ucieszyła się z tej wprawy pańskiej?

— Niech pan mnie źle nie rozumie. Wprawa moja nie odnosi się do wielkiéj ilości kobiet, ale jest ona zasługą saméj pani Elizy.

— Jakto, czy kazała sobie jedno i to samo tak długo powtarzać, aby przynajmniéj zmusić pana do wdzięczności za nabytą wprawę?.,.

(d. c. n)

NA WYSPIE.

NOWELLA

Fr. Spielhagena.

przekład z niemieckiego

(dokończenie)

Rozdział XXXI.

Trzy łodzie, prędko jedna po drugiéj przybiły pod wysokiem wybrzeżem do zwirem pokrytego brzegu. Pierwszą była łódź *Neptuna*, a jéj majtkowie rzucili drugim ironiczny okrzyk *hurrah*! Nikt nie zwrócił uwagi na łódź dążącą za nimi, tembardziéj że teraz by łatwiéj wiatr pochwycić, zupełnie w innym żeglowała kierunku. Panowie powitali się poważnie, weszli na wysokie wybrzeże i idąc lasem wkrótce u mogił Hunnów stanęli.

Tego rana miejsce to było zarówno spokojne i tajemnicze jak owego wieczora gdy je po raz pierwszy zwiedził Paweł, w tak zupełnie innych okolicznościach. Z westchnieniem przypomniał sobie smutne przeczucia które mu wówczas zasępiały tak uroczo spędzone tu chwile. W szczytach wysokich jodeł szemrał poranny wietrzyk, od wschodniéj strony zarumieniły się wierzchołki drzew, zresztą wszystko w około spoczywało jeszcze w głębokim cieniu.

Przy jednym z kamieni leżały jeszcze kawałki papieru i próżne butelki, były to resztki owéj wieczornéj uczty.

— Jakże dzisiaj żałuję że nie towarzyszyłem wam wtedy, rzekł Gustaw do Pawła. Mówił to ścicha. Wszyscy do siebie szeptali; w tem miejscu zaklętem każde głośniéj wymówione słowo odbijało się jak w kościele.

Gdy sekundanci chcieli przystąpić do nabicia broni, okazała się ważna przeszkoda. Doktór Deus który był się podjął przywiezienia z sobą pary pistoletów Gerharda, wybierając się pospiesznie zostawił je na stole w kajucie. Pan von Sanzen podał myśl posłania do swego domu po swoje własne pistolety. W kwadrans posłany mógł być z powrotem.

Paweł ucieszył się z téj zwłoki, a pan von Sanzen sam zeszedł nad brzeg, dał jednemu z ludzi kartkę do swego rządzcy i pośpiech mu polecił.

W oczekiwaniu powrotu posłańca przechadzano się wzdłuż mogił Hunnów. Miejsce dosyć było obszerne by się z łatwością wymijać. Gdy w jednym końcu pan von Elze rozmawiał z krewnym swoim, Gustaw wziął na stronę doktora Schwarza i widocznie powierzał mu rzeczy wielkiéj wagi, bo mówił z nim długo i z zajęciem.

Paweł z założonemi rękoma stał o drzewo oparty Gerhard przystąpił do niego.

— Nie wypada mi badać ukrytych przyczyn tego nieszczęsnego zajścia, które nas wszystkich tu sprowadziło, ale okoliczność która dwóch na pozór tak rozsądnych ludzi doprowadziła aż do tego by broń tylko między nimi rozstrzygać miała, wiele mi dała do myślenia i zwiększyła życzenie, które powstało we mnie od pierwszego dnia, mogę powiedzieć od pierwszéj godziny mojego tutaj pobytu. Życzeniem tem jest chęć rozmówienia się z panem w sprawie, która zda mi się, zarówno nas obu obchodzić musi.

— Zdaje mi się że wiem o czem pan chcesz mówić.

— Byłbym milczał, gdybym pewnym nie był że się pan tego domyślisz, rzekł Gerhard, ale wzajemnie czytamy w sercach naszych, wiemy że obaj kochamy Heddę, a więc powinniśmy rozmówić się szczerze. Wyjawiając niejako tajemnicę Heddy

nie obawiam się obrazić, uchybić jéj dziewiczemu uczuciu, wiem że ona tak szlachetnie myśli, iż gdyby serce jéj wybrało pana, zwierzyłaby mi natychmiast swoją tajemnicę. Od dwóch lat kocham Heddę, od chwili poznania jéj w S. wtedy zdawało mi się że mi sprzyja, i wtedy pokochała mnie naprawdę! Lecz wszystko na świecie się zmienia, myśli i uczucia ludzkie; tak dobrze wiem to dzisiaj jak i wtedy wiedziałem, i dlatego nie wiązałem ukochanéj żadnem przyrzeczeniem, chciałem by była wolną i niekrępowaną niczem, a wybór swój poddała próbie czasu. Według zapatrywania się mego, wybierać powinniśmy z rozmysłem, to jedyna rada na niestałość i słabość natury naszéj, ale gdy raz już wybór ten uczynimy, świętym dla nas powinno być obowiązkiem, stale i uczciwie wytrwać w nim do końca. Dla siebie również żądałem podobnéj wolności, chociaż wiedziałem dobrze że dla mnie jest ona zbyteczną; wróciłem z dalekiéj podróży i kocham Heddę żywszą miłością aniżeli przedtem... ale ona?... ona?...

— Nie zmieniła się dla pana! przerwał mu Paweł, ufaj pan mojéj przenikliwości. Być może że się przez chwilę wahała, ale to trwało krótko, gdyż świeża przyjaźń nie mogła pierwszéj zastąpić miłości. Co do mnie, dawno powziąłem postanowienie; i jeżeli wynik pojedynku nie stanie mi na przeszkodzie... wyjeżdżam jutro, w każdym zaś razie współzawodnictwo moje skończone.

— A gdyby jednak pana wybrała Hedda?

— To niepodobna!... gdyby jednak to uczyniła, przekonany jestem że tak samo pan byś się usunął jak ja usuwam się teraz.

— W przeciwnym razie miałożby życie wartość dla pana?

— Trudne pytanie! rzekł Paweł ze smutnym uśmiechem na ustach, jeżeli powiem *nie* to rozum zarzuci mi kłamstwo, jeżeli powiem *tak* to serce mnie obwini.

— To pan chyba nie kocha Heddy duszą całą?

— Mój drogi panie, rzekł Paweł poważnie, my uczeni, tak długo badamy skryte głębie naszej istoty, dopóki żyjącego organizmu nie rozbierzemy na cząstki; a tę szerszą wiedzę jego działania zmuszeni jesteśmy okupić ciężkim przywilejem, dającym nam przewagę nad niefilozoficznemi głowami, a tym jest konieczność postępowania tak, jak ludzie skończeni postępować winni chociażby własne rozdzierając serce, i dlatego chociaż kocham Heddę, jednak zrzec się jéj potrafię! Dla pana jest to może bardzo niejasnem, szalonem i niepojętem, dla mnie zaś zupełnie zrozumiałem i rozsądnem. Ale teraz nie o to chodzi, dość na tem, że między nami pojedynek skończony.

— Nie jeszcze! zawołał Gerhard chwytając rękę Pawła, walczmy dopóki wyrok nie padnie!

Wśród jodeł ukazał się posłaniec niosący pudełko z pistoletami, pan von Sanzen poszedł naprzeciw, odebrał je, a majtka napowrót odesłał do łodzi.

Nabito pistolety, odmierzono odległość i przeciwników na miejscach postawiono; podczas gdy doktór Deus na jednym z kamieni, z najwyższym spokojem rozkładał i porządkował złowrogiego pozoru swe chirurgiczne narzędzia.

— Tobie wszystko wiadome mój Pawle! rzekł Gustaw, stając na naznaczonem mu miejscu. Jesteś całkowitym moim spadkobiercą, tobie żonę i dziecko moje powierzam, bo po nich nikogo na świecie nie kocham bardziéj niż ciebie. Mojego syna wychowasz lepiéj niż ja sam przy najlepszych chęciach mógłbym to uczynić, a gdyby kiedy Klementyna... przy tobie będzie ona szczęśliwszą, niż nią przy mnie była!... Przy tobie pragnąłbym ją widziéć... oby tylko nie przy boku tego nikczemnika!

— No! jakże tam Albercie? stojąc po drugiéj stronie pytał pan von Sanzen, czy nerwy twoje spokojne?... ręka nie drży? oko czy zawsze pewne? bo dawniéj strzelałeś doskonale.

— Nie miéj obawy, odparł pan von Elze, wszak nie z jednéj podobnéj sprawy szczęśliwie wyszedłem, i czyżbym teraz pozwolił się zabić gdy życie dopiero rozpoczyna się dla mnie! Na strzaskanie ręki lub nogi przygotowany jestem; ci cywilni nie umieją obchodzić się z pistoletami. Tego zaś człowieka na miejscu położę; wprawdzie jest mi on zupełnie obojętny, ale żona jego dotkliwie mnie obraziła!

— W dyabelskiem jesteś usposobieniu! z uśmiechem rzekł pan von Sanzen.

— Tem lepiéj! odpowiedział porucznik i wziął do ręki pistolet.

Przeciwnicy stali na swoich miejscach, sekundanci usunęli się na bok; Gerhard trzykrotnie klasnął w ręce.

W tejże chwili rozległ się strzał. Panu von Elze zleciała czapka z głowy i usłyszano uderzenie kuli o drzewo za nim stojące.

Natychmiast huknął strzał drugi. Gustaw pochylił się naprzód i upadł twarzą na ziemię. Przyskoczono do niego, podniesiono i położono na jednym z dużych mchem porosłych kamieni. Doktór Deus nad nim pochylony opatrywał ranę: kula przez prawą stronę płuc na wylot przeszła.

— Rana śmiertelna! najdaléj za kwadrans życie skończy! rzekł doktór Deus głosem ponurym i zwracając oczy na otaczających.

W tem pośród nich nagle stanęła Klementyna. Nikt nie uważał jéj przyjścia. Pan von Elze cofnął się przerażony. Ona go nie widziała, bo w téj chwili nie widziała nikogo. Jéj osłupiałe oczy spoczęły na bladem obliczu męża; z głuchym jękiem upadła obok niego na kolana, w dłonie swoje chwyciła jego zwieszoną chłodniejącą już rękę.

— Nie żyje! nie żyje! z rozdzierającem łkaniem zawołała.

Umierający raz jeszcze otworzył oczy zasłonięte już mgłą bliskiéj śmierci i ujrzał pochyloną nad sobą twarz ukochanéj kobiety. Błogi uśmiech przebiegł po jego licu; poruszył ustami jak gdyby chciał wymówić jéj imię, lecz żaden już dźwięk nie wyszedł z téj piersi przestrzelonéj, z tych ust pobladłych. Pochylił głowę, westchnął... i spoczął snem wiecznym!...

— Nie żyje! nie żyje! jęczała Klementyna objąwszy go w ramiona i twarz kryjąc na piersiach człowieka którego szlachetne serce dla niéj tylko biło, teraz na zawsze bić już przestało.

— Przeklęta sprawa! szepnął pan von Elze osłupiałym wzrokiem patrząc na rozdzierającą scenę i jakby przykuty stojąc na brzegu lasu, wolałbym go był nie trafić!

— Skrucha za późno przychodzi, rzekł pan von Sanzen, ale wiesz co Erneście, myśmy tu wcale nie potrzebni... Chodźmy ztąd...

I zniknęli wśród drzew gęstwiny. Teraz, od strony wybrzeża nadchodziła Hedda wraz z komendantem.

Komendant szedł pewnym krokiem, jak człowiek który w swem życiu niejeden już straszny oglądał wypadek, ale Hedda doszedłszy do krańca lasu stanęła, i blada, drżąca oparła się o pień jodły.

Gerhard i Paweł jednem powodowani uczuciem ku niéj pospieszyli.

Słowo: Nie żyje? zaledwo z ust jéj wydobyć się mogło!

— Nie żyje! smutnie odpowiedział Gerhard.

Ona z głośnym płaczem rzuciła się na piersi Gerharda, a ten otworzył ramiona aby w nie przyjąć ukochaną dziewicę.

— Gerhardzie! wołała łkając: przebacz, przebacz mi Gerhardzie!

Po chwili podniosła głowę i wyciągając rękę do Pawła rzekła:

— I ty mój przyjacielu, zechciéj mi także przebaczyć!

Rozdział XXXII.

Paweł St. do Franciszka S.

W sześć tygodni później.

Trzy twoje listy leżą przede mną mój drogi Franciszku, a jeszcze nie odpisałem na pierwszy. Wybacz- że o tragicznéj katastrofie idylli mojéj na wyspie, pierwéj się dowiedziałeś z dzienników aniżeli ode mnie. Ale pisać nie mogłem, zanadto miałem zbolałe serce i umysł nazbyt znękany.

Do listu dołączam mój dziennik, który na żądanie twoje, przez ciąg pobytu mego na Nedurze sumiennie prowadziłem.

Z krótkich notatek domyślisz się biegu wypadków, rozpierzchłe myśli w porządny wprowadzisz związek, a nawet rozumowaniem dopełnisz liczne niedokładności. Dzięki Bogu, doszliśmy już do tego że rozumiemy się i wtedy nawet kiedy nie rozmawiamy z sobą. Jeżeli, jak obiecujesz w ostatnim liście, wkrótce przybędziesz do mnie, to po porządku dowiesz się o wszystkiem.

I oto siedzę znowu w poczciwym moim pokoiku. Sprzęty, książki moje, zdają się patrzéć na mnie jakby powiedziéć chciały: długo czekałyśmy na ciebie, miły nasz towarzyszu! Na spokojnem podwórzu kościoła, przed mojem oknem, pod lipą bawią się dzieci sąsiadów, zachodzące słońce odbija się jaskrawo o stare mury, w około których wesoło świergocząc krążą ulubione moje ptaki, jaskółki. Teraz znowu panuje spokój w méj duszy, znowu w bezpiecznéj stanąłem przystani, i widzę z radością że gwiazdy do których pełne zaufania wznosiłem oczy, nie zawiodły moich nadziei.

Dużo, dużo przeżyłem drogi Franciszku, to znaczy; że miałem wiele radości, ale też i boleści wiele! Jedno bez drugiego nie może się obejść na tym miłym, kochanym, pięknym, a tak dziwacznym świecie! My ludzie, nie mamy szczęśliwego przywileju słonecznych zegarów, które tylko pogodne wskazują godziny. Nie zazdroszczę im jednak tego przywileju. W raju mogli tylko szczęśliwi, ale nigdy wzniosłego ducha ludzie przebywać; a teraz gdy w duszy mojéj ukoił się ten pierwszy ból ciężki, ja dziecię ziemi, czuję już uzdrawiające jego działanie, czuję że z téj wędrówki powracam jako lepszy, szlachetniejszy człowiek. Nigdy tak jak teraz, nie ukochałem ludzi, braci moich! teraz, gdy dawne moje zasady trzykrotną przeszły próbę ognia świętego, gdy sprawdziły się one i przekonały mnie ostatecznie: *Że jedynie tylko miłość idei, ludzkości, słowem ducha Bożego, który panuje w wszechświecie, jest w stanie dać nam to wzniosłe szczęście, którego nie dozna ten kto miłości takiéj w sercu swem nie żywi. Miłość zaś do jednostki, tylko w części zdolna uszczęśliwić, a gdy w niéj doznamy zawodu, również chwilowo tylko nieszczęśliwym nas czyni.* Człowiek jednak, ten obywatel w dziedzinie ducha, nad szczęście i nieszczęście wyższym być powinien. Nie mówię tego jako zacięty Indyanin, nucący pieśń wojenną gdy kona już prawie w rękach swych dręczycieli, ale przeciwnie, mówię to z najgłębszem przekonaniem, bez zawiści lub dumy, mówię to teraz nawet kiedy już Hedda niepowrotnie do innego należy, ta Hedda, któréj obraz nie odstępuje mnie nigdy! Hed-

da, którą kochałem i kocham, jak nigdy innéj kobiety z pewnością kochać już nie będę!

A ty, biedna Klementyno! ty z tak szlachetnem, bogatem sercem! O! jakże ciężko przypłacić musiałaś winę, która była tylko błędem twego wychowania, niedostatkiem natury, która tobie jak Mojżeszowi odmówiła daru wymowy, tego daru, którym Aronowe dzieci tego świata, stanowczo i z taką łatwością, sprawy codziennego życia rozstrzygają!

A ty poczciwy mój Gustawie! okupiłeś krwią własną chwilowe zwątpienie o wierności żony, chwilową przewagę namiętności nad rozsądkiem, tak niezbędnie potrzebnym do trafnego, szybkiego działania. Ty, podobnie jak szlachetny, odważny zwierz dziki, który wpadł w zastawione nań sidła i marnie ginąć musi, tak i ty, pozwoliłeś zapanować nad sobą fałszywym pozorom, złośliwym władzom twéj natury, pozwoliłeś nareszcie by cios śmiertelny zadał ci pierwszy z brzegu nikczemnik!

Gdy o tem wszystkiem rozmyślam mój Franciszku, to radbym powiedzieć: że życie jest płaską komedyą, w któréj wyszydzeni są dobrzy i szlachetni, a wyniesieni łotry albo błazny. Ale gdy głębiéj się zastanowię korzę się z pokorą przed wysokim majestatem praw, które życiem ludzkiem kierują. Tak jak prawa Drakona, i one krwią są pisane, nie znają litości, zarówno karzą pierwsze kiełkujące kłamstwo, jak bezczelne, rozmyślne krzywoprzysięztwo.

A los jakby się ciesząc swoją niedosięgnioną władzą, od czasu do czasu, tu i owdzie, w przerażających przykładach daje dowody swéj potęgi, zabłyśnie jednym, a w życie drugich niszczący grom posyła! Gdy Hedda, w obec niezastygłego jeszcze ciała Gustawa, rzuciła się w objęcia ukochanego, jak burzą skołatany okręt ucieka do bezpiecznéj przystani, wtedy uderzyła mnie myśl: i ty także boleśnie dotknięta jego śmiercią, a jednak śmierć ta utrwala szczęście twoje! Takie już prawo natury: ze śmierci, zniszczenia i pleśni, powstaje nowe, świeże i wonne kwitnące życie! Od téj chwili Hedda stała się inną; poznała że życie w rzeczywistości, a życie w wyobraźni, są to dwie wielkie sprzeczności; przekonała się że to rzeczywiste życie ma także przerażająco poważne strony. Ale u boku Gerharda zapewnione jéj szczęście; on czuje *tę niewyczerpaną siłę w piersi* o któréj wielki poeta twierdzi, że zarówno konieczną jest do nabycia jak i przechowania. Charakteryzuje go sposób, w jaki usunął ostatnią przeszkodę, stojącą na drodze połączenia się z Heddą. Wbrew wszelkiemu oczekiwaniu, powołanie jego wcale nie przemawiało za nim w przekonaniu starego marynarza. „Duszą i ciałem jestem marynarzem! mówił on, marynarska to rzecz cudowna, ale smutny los marynarza! Ukochane, jedyne moje dziecię, radbym uchronić od losu jéj matki, która nękana ciągłą troską i niepokojem o mnie niestrudzonego marynarza, przedwcześnie zeszła do grobu. A Gerhard cóż odpowiedział na to? Panie komendancie, odrzekł, nie jestem człowiekiem stworzonym do gnuśnego życia, ale do czynu i pracy; mało zależy mi na tem, nad czem pracować będę, oby tylko przedmiot pracy był uczciwym i dostatecznie siły moje zatrudniał.

Może wolałbyś pan za obywatela ziemskiego wydać córkę swoją? W takim razie chętnie marynarkę na pracę około roli zamienię; z Heddą w każdym zawodzie szczęśliwym będę, bez niéj zaś w żadnym! Uczynił, jak powiedział. Wystąpił z marynarki, i za posag Heddy i swój majątek, nabył w pobliżu S. wiejską posiadłość, którą z jednéj strony oblewało morze, do czego niemałą wagę przywiązywał Gerhard, aby i u nas papa Walter mógł sobie żeglować, mówiąc z radością. Obecnie przebywa Hedda w S. u swéj ciotki. Za miesiąc ślub ich się odbędzie, a ja drużbować jéj będę.

Klementyna również tam się przeniosła; z dzieckiem i służącą którą z Neduru zabrała, żyje całkiem odosobniona w willi swojéj za miastem; nie widuje nikogo, zaledwo Heddę i Gerharda. Jeden tylko doktór Deus bywa u niéj. W testamencie zrobionym w nocy przed pojedynkiem, jego i mnie uczynił Gustaw opiekunami swojego syna, i w tym to charakterze oraz jako lekarz odwiedza ją często. Zdaje mi się że ten szczególny człowiek kocha Klementynę, aby żyć blizko niéj poszedł za przykładem przyjaciela, wystąpił ze służby i z okrętowego lekarza stał się doktorem miejskim. Do mnie jako najlepszego przyjaciela swego męża, ma Klementyna nieograniczone zaufanie, a do jakiego stopnia mnie to uszczęśliwia, tego ci wyrazić nie umiem.

Jéj piękne, szlachetne serce, otworem stoi przede mną; rozmawiamy o wszystkiem, nawet o tym niegodnym człowieku, przeciw któremu, jak wiesz, obecnie toczy się proces. Ona i jéj dziecko są dla mnie świętą spuścizną, którą pragnę strzedz i bronić dopóki życia mi starczy. Wymowną jest cicha boleść Klementyny, wymowniejszą jeszcze od srebrnego uśmiechu Heddy! Mam nadzieję w cudowną potęgę czasu, gojącą wszystkie rany i wszystkie uspakajającą cierpienia; mam nadzieję że przyjdzie chwila gdy żywa boleść zamieni się w żal, żal w tęsknotę, a tęsknota w spokój łagodny, który jéj tak przystoi i tak właściwy jest tej istocie. Wtedy pojmie ona że na szali najsurowszego sumienia wina jéj mało zaciąży, wtedy życie znowu pełniéj i silniéj do jej serca przemawiać zacznie, wtedy nie odrzuci może człowieka który radby los zmusić do tego, aby ku tej szlachetnéj a nieszczęśliwéj kobiecie zwrócił twarz łagodną i dobrotliwą. Wówczas człowiek ten dowiedzie, że jeśli posiada zapał i serce to nie tylko dla spraw ludzkość całą obchodzących, ale że i dla jednostki poświęcić potrafi, choćby i życie przyszło przynieść jéj w ofierze.

A mój stary, zacny przyjaciel, komendant sterników? zapytasz widząc że list mój ma się ku końcowi, czy teraz samotnie poncz swój popija w ogrodowéj sali? Staremu zanadto smutno było na Nedurze; dawny już zamiar doprowadził do skutku, i jak sam mówi: *broń złożył*. Teraz właśnie jest w S. zajęty urządzeniem domu którego okna ma się rozumieć na port wychodzą. Do domu tego sprowadza wszystkie swoje ciekawości, między któremi on sam największą stanowi osobliwość, i wśród nich pragnie późny wieczór swojego życia przepędzić, oraz wśród dobrych towarzyszy, kapitanów okrętowych równie jak i on wysłużonych marynarzy, przy szklance ulubionego grogu przegadać go spokojnie, i może dokończy jeszcze kiedy owéj ciekawéj historyi o rozbójnikach malajskich.

Tak więc dobrzy nasi znajomi zniknęli z Neduru, a gdy następnéj wiosny powrócą jaskółki, które się zwykły gnieździć nad oknami ogrodowéj sali, w domu komendanta, obcych już na wyspie zastaną ludzi!

LISTY Z MADRYTU.

(Dokończenie).

Małe teatrzyki dają dziennie po trzy, cztery przedstawienia, i często widzowie przybyli na pierwsze pozostają do końca ostatniego. W tearze *Capelam* codziennie wykonywają tańce tak rozpustne o jakich nawet w osławionym Paryżu nie mają wyobrażenia.

Publiczność składa się z młodzieniaszków, ze starców uzbrojonych lornetami i z kobiet podejrzanych.

Oprócz zabaw publicznych, codzień prawie bywają wieczory, bale, teatralne przedstawienia, reuniony, tak zwane *tertulias*, proste herbatki a często i wieczory literackie. Na takich to zebraniach można poznać osobistości których postępki, ruchy, obejście przedstawia wybornie *Aomodeo* z *Epoca* i Fernan Flor z *Imparcial* w niezrównanych swoich kronikach z eleganckiego świata.

Czem jeszcze Hiszpanie różnią się od innych ludów, oto że nietylko w Madrycie ale i na prowincyi prosty lud mówi poprawnie językiem książkowym; zaledwie można dopatrzéć jakiejś różnicy w wymawianiu prostych wyrobników i najwykwintniejszych literatów. Tegoczesny język różni się znacznie od języka Cerwantesa, Quevedo, Lope de Vega. Gdyby Karol V zmartwychwstał, nie powiedziałby już że hiszpański język jest jedynym którym możnaby rozmawiać z bogami.“ Sancho Pancha dziś by się już ani podobał ani był zrozumiany. Dialektów jest kilka, między innymi kataloński, w którym pan Balaguer pisze nader udatne wierszyki: murcyjski i stary język prowincyi baskijskich. Narzeczem kastylijskiem mówią w obu Kastylliach, w Aragonii. w Estramadurze, w Andaluzyi, razem w pięciu prowincyach. Jakiś frazes popularny pobudzający do śmiechu parter teatru w Salamance, tenże sam sprawia efekt w obec butacas teatru w Grenadzie; w Sevilii doskonale zrozumieją odrazu dwójznaczniki ułożone w Saragossie.

Pisząc z Madrytu i o Madrycie nie mogę pominąć wzmianki o najpiękniejszych i najwięcéj odznaczających się paniach madryckich.

Pierwsze miejsce, tak pod względem piękności, stanowiska i urodzenia jakoteż pod względem osobistego znaczenia, zajmuje księżna Medina-Coeli. Jest to prawdziwy typ wielkiéj pani, a choć dziś już to nie ta młodziutka andaluzyjska piękność, któréj portret budził ogólne zachwycenie na wystawie paryzkiéj 1855, jednak dziś jeszcze jest bardzo piękna. Wysokiego wzrostu, majestatycznéj postaci, ruchy jéj mają w sobie jakąś monarszą dostojność: oczy czarne, głębokie i marzące, nosek jakby dla snycerza, wielkie miękkie jak jedwab włosy, prześliczne usta, rączki i nóżki maleńkie, cudnie skończonych kształtów. Ale ta doskonała piękność jest jeszcze najmniejszą zaletą téj prawdziwie wyższéj kobiety; odznacza się ona nadto wysokiem ukształceniem, niezależnością i wytrawnością sądu, rzadkim dowcipem i zdrowym rozumem.

Obdarzona wielkiemi zdolnościami, mądrze i umiejętnie zarządza swym domem i ogromnym majątkiem. Wieczorem w salonach swoich jest niezrównaną panią domu, pełną wykwintnego prawdziwie pańskiego wdzięku; mimo to codzień wstaje bardzo rano, i z wytrawnością biegłego administratora, zajmuje się interesami odnoszącemi się do zarządu jéj rozległych dóbr. Księżna Medina-Coeli codziennie zasiada za biórkiem założonem najrozmaitszemi rachunkami, projektami, sprawozdaniami, i sama przegląda, sprawdza i rozpatruje wszystkie. Pozakładała w posiadłościach swoich fabryki dające zarobek licznym robotnikom, którzy ją uwielbiają i nie nazywają inaczéj jak aniołem. (Imię jéj Aniela).

Prowadząc życie tak czynne, księżna niewiele poświęca czasu na wizyty, spacery i konwencyonalne wymagania; ubiera się elegancko i zwielkim gustem

ale bez najmniejszéj pretensyi; zdaje się patrząc na nią że nie wie o swéj piękności.

Dzieci wychowała wzorowo; wygląda wśród nich jak starsza siostra. To też nie kochają ale ubóstwiają matkę; synek powtarza często że ,,mama jego jest piękna jak Madonna Sewilska noszona na procesyi, a córka Marietta, zapowiada kobietę odznaczającą się rzadkiemi przymiotami umysłu i serca.

Bardzo także wybitną osobistością jest hrabina Compo-Alange; słynie w całym Madrycie z nadzwyczajnego dowcipu i nader trafnych słówek i odpowiedzi, a córka jéj jest zachwycająco piękna; w twarzy jéj widnieje wyraz anielskiéj dobroci.

Trzecią pięknością Madrytu, w którym tyle jest przecież pięknych kobiet, jest księżna de la Torre, marszałkowa Serrano. Jest ona wyrocznią mody i dobrego gustu, odznacza się niezrównanym wdziękiem i pańskością obejścia.

Na zakończenie tego listu podam jeszcze opis zbrodni spełnionéj przed trzema blisko laty przez młodą dziewczynę; z powodu protekcyi bardzo wpływowéj osoby, wyrok dopiero w grudniu roku zeszłego wykonany został.

Oto jak się rzecz miała.

W jednym z domów przy ulicy del Fucar, mieszkała pewna pani taka złośnica i pasyonatka, że nareszcie mąż jéj pan Goya, podobno krewny sławnego malarza tegoż nazwiska, zmuszony był z nią się rozłączyć. Nigdy nie mogła nawet miesiąca utrzymać służącéj, tak dokuczała, kłóciła się i łajała. Raz nareszcie przyprowadzono jéj młodą ośmnastoletnią dziewczynę, Wincentę Sobrino, przybyłą z Valladolid. Była ładna i tak łagodna i potulna iż jakoś przypadła do gustu popędliwéj pani, tak iż zdawało się że ta dłużéj w jéj służbie pozostanie. Gdzie tam! po dwóch tygodniach, o jakąś bagatelkę, pani Goya, unosi się gniewem, krzyczy, wymyśla, a nie dość na tem uderza w twarz młodą sługę. Tego już było za nadto, oburzona dziewczyna traci cierpliwość i wychodzi z pokoju mówiąc: ,,Pamiętaj pani że ci tego nie daruję, potrafię się zemścić."

Jakoż téjże nocy zakradła się cichaczem do pokoju pani i rzuciwszy się na nią z wściekłością, utopiła jéj nóż kuchenny w piersi. Pani Goya chciała zerwać się i wołać ratunku, zatkała jéj usta i skrępowawszy omdlałą z bólu, nie dozwoliła jéj ruszyć się z łóżka. Krew strumieniem płynęła z rany; biedna kobieta płacze i błaga o litość swéj zabójczyni, która spokojnie, jak posąg zemsty patrzyła na jéj konanie.

Później, stawiona przed sądem. Wincenta zeznała, że te błagania jéj ofiary, podniecały jeszcze jéj zemstę, że widok pani pasującéj się ze śmiercią, nietylko nie budził litości ale jeszcze podniecał jéj żądzę zemsty. ,,A przecież, dodała, mam dobre serce, nigdy żadnemu stworzeniu najmniejszéj nie wyrządziłam krzywdy!"

Przekonawszy się że pani Goya żyć przestała, poszła do swego pokoju, zrzuciła zakrwawione suknie, poczém wróciła znowu do sypialni zamordowanéj pani, i zdjęła zawieszony nad jéj łóżkiem zegarek, ,,aby na wypadek mogła wiedzieć która jest godzina, z resztą nie ruszyła ani rzeczy, ani pieniędzy, ani kosztowności.

Nazajutrz rano, wzięła koszyk, zamknęła drzwi, jak gdy chodziła do miasta, przechodząc powiedziała dzień dobry odźwiernemu, i zamiast na targ pobiegła prędko na dworzec kolei Północnéj. Ale spóźniła się, —ranny pociąg już odszedł—drugi nie odchodził aż wieczorem Nie wiedząc co robić poszła do znajomych, którzy zabrali ją z sobą na wybrzeża Manzaneres, gdzie obchodzono uroczystość *Virgen del Puerto*. Ożywiona wesołością i żartami towarzyszek, Wincenta zaczęła tańczyć szalonego *zapateado*, przy akompaniamencie śpiewów i gitar. Gdy wieczór zapadł pożegnała towarzyszki z uśmiechem, tłomacząc się że pani byłaby niespokojna gdyby bawiła dłużéj. W godzinę później siedziała w wagonie, mającym ją dowieść do rodzinnego miasta,

Grobowe milczenie panujące cały dzień w mieszkaniu pani Goya zwróciło uwagę odźwiernego; pukał kilkakrotnie do drzwi, a nie odbierając żadnéj odpowiedzi zawiadomił policyą. Śledztwo odbyte naprowadziło na ślad że sprawcą zabójstwa była własna jéj sługa; zaaresztowano ją w Valladolid i odstawiono do Madrytu, do więzienia del Modelo. Po krótkiem wahaniu, przyznała się do popełnionéj zbrodni i opisała wszystkie jéj szczegóły. Po długich debatach, Wincenta Sobrino została skazana na śmierć.

Po ogłoszeniu jéj wyroku została przeprowadzoną do kaplicy, gdyż w Hiszpanii skazany na śmierć. musi w niéj spędzić ostatnie trzy dni. Kapłan odmawia z nim modlitwy; mówi mu o Matce siedmiu boleści któréj pierś miecz boleści przeniknął, i tego co źle żył stara się przygotować aby dobrze umarł.

Te trzy dni są może straszniejsze, trudniejsze do przebycia niż śmierć sama — bo jakże to ponure myśli, jak przerażające widziadła oblegają umysł nieszczęśliwego skazańca! Przez trzy dni z rzędu myśli o śmierci, o czekającem go rusztowaniu i strasznej żelaznéj obróży mającéj go zadusić, o zimnym grobie w którym ma spocząć na wieki....

W dzień wykonania wyroku, wysłańcy Towarzystwa miłosierdzia, wszyscy należący do najznakomitszéj szlachty, przychodzą ubrać skazańca. Jeźli kobieta zostaje skazana na śmierć, największe panie, noszące najwyższe tytuły ubierają ją same od stóp do głów. W razie gdy skazany pozostawia rodzinę, jeden z członków Towarzystwa miłosierdzia zobowiązuje się przysięgą czuwać nad jéj utrzymaniem, a jeźli są dzieci, zająć się ich wychowaniem.

Gdy skazaniec jest już ubrany, przychodzi kat, całuje go w rękę i prosi aby nie miał do niego żalu za to że zmuszony jest odebrać mu życie.

Ukończywszy wszelkie przygotowania, wsadzają skazańca na osła i wiążą mu ręce w których trzyma prosty drewniany krzyżyk, a na nim wypisana jest ostatnia przedśmiertna modlitwa, i tę przez całą drogę odmawia, zazwyczaj głośno.

Na czele smutnego orszaku idą księża; jeden z nich ubrany jest w zieloną, złotem haftowaną kapę, ten niesie krzyż i śpiewa *Requiem*. Dwóch ludzi prowadzi osła; członkowie miłosierdzia zamykają pochód. Dalej ukazuje się straszne narzędzie śmierci, w pośród oddziału kawaleryi.

Jest to plat-forma około dwa metry wysoka, na którą wchodzi się po schodkach, po obu stronach opatrzonych poręczą. W środku wznosi się słup drewniany, do którego przytwierdzona jest obręcz żelazna, zacieśniająca się za pomocą śruby. Przed słupem sadzają skazańca, po za nim stoi taboret dla kata. Dwóch księży wprowadza skazańca po schodach na rusztowanie.

W dzień ekzekucyi niezliczone tłumy ściągają z całego Madrytu na plac gdzie wznosi się rusztowanie. Trzy części ludności gromadzi się tu już od świtu. Jedni przybywają pieszo, inni konno, na mułach, w powozach; wszystkie klassy społeczne cisną się w tłoku z cyniczną ciekawością. Kalecy wloką się na szczudłach lub przyciągają ich w wózkach. Nawet niewidomi każą się tu prowadzić, aby skoro nie mogą widziéć, słyszéć przynajmniej straszne szczegóły. Dla tych głodnych wrażeń tłumów, taka egzekucya jest pożądanem widowiskiem.

W jednym rogu placu, siedzi przed stolikiem członek Stowarzyszenia Hermandad, w ubiorze penitenta, z głową pokrytą kapturem; na stoliku stoi taca na którą składają jałmużnę przeznaczoną dla rodziny skazańca. Z boku stoi krzyż z wizerunkiem Zbawiciela. Jeźli się zdarzy że król lub głowa rządu nadjedzie, członek Stowarzyszenia zrywa się z miejsca z krucyfiksem w ręku, zastępuje mu drogę i żąda ułaskawienia skazańca. Ułaskawienie to nie może być odmówione choćby dla największego zbrodniarza, gdyż w przekonaniu wszystkich, przypadek który sprowadził w tę stronę monarchę, jest objawem woli Bożej. Zwyczaj ten jest to piękny zabytek z czasów jeszcze średniowiecznych.

Zdaje się że Wincenta Sobrina żałowała za swą zbrodnię, bo postanowiła dobrze umrzéć. Pobożnie powtarzała za kapłanem słowa modlitwy, aż do chwili gdy kat zakręcił śrubę obręczy obejmującej jej szyję — żyć przestała!.....

Zaraz po wykonaniu wyroku kat zostaje stawiony przed sądem.

— Popełniłeś zbrodnię, mówi mu przewodniczący — co możesz przytoczyć na swoją obronę?

— Był to, odpowiada, zbrodzień skazany na śmierć wyrokiem sądowym, ja byłem tylko jego wykonawcą.

— Jeśli tak, jesteś niewinny, możesz odejść.

Tragedia kończy się komicznie.

Zwłoki królobójców muszą być spalone na rusztowaniu, a prochy rozwiane na cztery wiatry. Zwykli zaś przestępcy, pozostawieni zostają na rusztowaniu aż do zachodu słońca, poczem kładą zwłoki w czarną trumnę, na któréj namalowana jest trupia głowa i dwie kości na krzyż, i odnoszą do szpitala. Przed trumną postępuje kapłan odmawiając modlitwy za umarłych, a po za nią stare kobiety odziane w łachmany, idą ze świecami w ręku, pomrukując pobożne pieśni.

Ciało bywa pogrzebane w jednym rogu cmentarza *Campo santo* od którego wszyscy stronią uważając ten klin ziemi jakby za wyklęty. *I. W.*

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава, 27 Іюня 1879 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 28, r. 1879.

SZALONE OŻENIENIE.

przez

M. A. Fleming.

przekład z Angielskiego

przez J. B.

(Ciąg dalszy).

— Otóż i oni! zawołała nagle Elżbieta. Jakaż to piękna para!

Panna Higgins powiedziała to w innej myśli, ale rzeczywiście śliczna to była para. Szli przez murawę trzymając się pod ręce. Eryk wysoki, piękny, świetny, dystyngowany, przybrany w ubiór wytworny, miał na głowie aksamitną czapeczkę nasuniętą na czoło; Iza ubrana była w gazową blado różową suknię, w maleńki słomkowy kapelusik; w ręku trzymała bukiet wonnych lilij Iza Higgins zawsze prawie do ubioru swego, zapożyczała ozdób z dziedziny Flory.

Spostrzegli Elżbietę i jej towarzysza; dreszcz nerwowy przebiegł Izę, westchnęła ciężko i wyszeptała z przestrachem.

„Ach! to Terry!

— A! tak to Terry, rzekł lord Dynely przykładając lornetkę do oka. Skądże się tu wziął? Jakże się masz, stary kolego?

Mówiąc to postąpił ku Terremu, od niechcenia podając mu rękę.

Terry wziął ją i puścił natychmiast; po raz pierwszy w życiu zdawało mu się że go parzy, po raz pierwszy widok syna lady Dynely, ani sercu ani oczom jego nie sprawiał przyjemności.

„Czy wiesz że wcale nie spodziewaliśmy się ciebie. Ależ to straszna rzecz podróżować w taki upał. Kiedyż przyjechałeś?

— W tej chwili, odrzekł zimno Terry, wpatrując się w Izę.

Zarumieniła się i wyraźnie była zakłopotana. Nieśmiały wzrok jej unikał oczu Terrego, ręka zdawała się uciekać przed jego ręką; Terry uczuł się tem boleśnie dotknięty.

— Jakże się masz, Izo? Czy odebrałaś list?

— Tak, dziękuję ci.

I stała pomieszana i zakłopotana, rysując coś po piasku swoją białą parasolką.

— Nie pytasz mnie o wiadomości z domu, lordzie Dynely? rzekł Terry patrząc mu w oczy; o matkę, o pannę Forrester.

— Czy nie pytałem o nich? Ależ bo w taki upał, na pikniku odbywającym się w sierpniu, trudno zajmować się czémkolwiek lub kimkolwiek. Ale dziękuję ci, Terry, za przypomnienie; jakże się miewa matka moja i panna Forrester.

Słowom tym towarzyszyło jakby wyzywające spojrzenie niebieskich oczu Eryka, odbijające się także i w tonie głosu jakim odpowiedział na uwagę Terrego.

— Obiedwie są zdrowe; dziwno im tylko co może zatrzymywać cię tak długo; miałeś wrócić za tydzień?

— Być może, ale uznałem że organizm i temperament mój nie nadaje się do nieustannego jeżdżenia pośpiesznemi pociągami kolei.—a z resztą okolica ta podoba mi się lepiej od naszéj.

To powiedziawszy odwrócił się i kilka słów cicho powiedział do Izy która bardzo głośno się rozśmiała; potém wziął ją pod rękę i odeszli. Pierwéj jednak powiedział jeszcze do Terrego.

„No, Terry, baw się dobrze, tylko nie zalecaj się bardzo do panny Elżbiety, aby nie wzbudzić zazdrości szanownego Edwina Meeke, gdyż kto wie coby z tego wynikło pomimo że jest bardzo łagodnym. Zazdrość to przerażający potwór, straszne sprawia spustoszenia gdy tylko zakradnie się do serca.

I oddalili się we dwoje, a czarne oczy Elżbiety rzuciły im spojrzenie oburzenia.

„Cóż myślisz o tem? zapytała Terrego.

— Nic nie myślę, w głowie mojéj taki chaos.... pójdę może znajdę, gdzie szklankę wina, odpowiedział. Ale właśnie nadchodzi pan Meeke, zostawiam was, Elizo.

Oddalił się prędko i doszedłszy do jakiegoś bufetu wypił wielki kielich wina trzymanego w lodzie; ale i największa ilość zamrożonych napojów, nie zdołałaby ugasić ognia jaki miłość i zazdrość rozpłomieniły w duszy, Terrego. Zaczął chodzić bez myśli w tę i w ową stronę, obojętny na wszystko; gotów iść choćby na krańce świata byle uciec od ludzi. Wkrótce oddalił się o tyle że nie dochodziły już do niego dźwięki muzyki ani odgłosy pikniku, rzucił się na murawę.

Więc utracił Izę!

Tak, czuje że stracił ją na zawsze. Choćby Eryk odgrywał tylko zwykłą swoją rolę don Juana, i posiłkując się swoją pięknością i urokiem, starał się po to tylko zawrócić Izie głowę, aby ją niebawem porzucić, on już stracił ukochaną. Jeżli Iza oddała serce Dynely'emu lub komu bądź innemu, więc jego nie kocha. Serce które odda się jemu na zawsze, na życie całe, nie mogłoby nigdy bić dla innego;— Iza kocha Eryka, ależ jekież są jego zamiary?

— O nie! zawołał, a oczy jego zaiskrzyły się oburzeniem, nie dozwolę aby zrobił sobie z niej igraszkę jak z tylu innych jeżli pozyskał jej serce, nie powinien opuścić jej z pogardą. Nic z tego! niech się nie spodziewa że wolno mu zalecać się do niéj w tym jedynie celu aby zatruć jéj życie i zakrwawić serce jak z nie jedną już postąpił—zabiłbym go własną ręką.

Jasny, pogodny dzień ma się ku schyłkowi, słońce zachodzi, gwiazdy zaczynają błyszczéć, wietrzyk wieczorny się podnosi. Terry podnosi się zimny i blady, tak inny niż zwykle że prawie poznać go trudno; zwrócił się do miejsca zabawy. Pod wielkim płóciennym namiotem tańce idą ochoczo; księżyc przyświeca jasno, orkiestra gra walca, mała, wiotka Iza obraca się jak piórko w objęciu Eryka, doskonałego tancerza. Spostrzegła Terrego i jakoś dziwnie się uśmiechnęła.

Gdyby zamiar sprowadzający w te strony Terrego, wielkiemi literami wypisany był na jego czole, lord Dynely nie mógłby go łatwiej i prędzej wyczytać niż obecnie. Od pierwszego spojrzenia zrozumiał co się dzieje w duszy Terrego, i wie równie dobrze jak on sam że przybył do wikariatu zaręczyć się z najpiękniejszą z córek pastora. I przycisnął do siebie rękę jej wspartą na jego ramieniu, objął ją palącem spojrzeniem, mówiąc sobie:

— Nie, ona nigdy nie będzie jego żoną, nikt prócz mnie posiadać jej nie będzie... Oświadczę się dziś wieczór, jutro byłoby za późno, ten dragon by mnie uprzedził.

Kaprys jaki uczuł dla Izy nie ostygł dotąd ani na chwilę. Wie on dobrze iż nie będzie mógł chlubić się nią tak jak gdyby Fanny została jego żoną, przeczuwa nawet że może już w miesiąc po ślubie znudzi go ta potulna i nieśmiała istotka, ale mimo to wszystko chce i będzie ją posiadać. Pojawienie się współzawodnika podnieciło jego zapał; na złość jemu i wszystkim ta młodziutka piękność wiejska musi być jego—oświadczy się dziś jeszcze.

Skończył się walec; poprowadził Izę do parku którego ciemność tylko światło gwiazd rozjaśniało; ona idzie bez wahania, poszłaby na krańce świata byle tylko on ją prowadził. Od chwili ujrzenia lorda Dynely żyła w ciągłej extazie i zachwyceniu.

„Co za śliczny rozkoszny wieczór! rzekła z westchnieniem patrząc w niebo nigdy jeszcze w życiu nie byłam tak szczęśliwa!

— Jak od chwili przybycia Terrego Dennison? zapytał.

— Oh! lordzie Dynely... cóż mnie Terry obchodzi! odrzekła wzruszając ramionami.

— Doprawdy?... Czy tylko pewną tego jesteś, Izo?... Nie ucieszyło cię przybycie Terrego? nie tęskniłaś za nim?

— Ach!... wierz, lordzie Dynely, że on mi zupełnie obojętny.

— A więc kochasz innego... A kogo, ślicznniutka Izo? tylu masz wielbicieli.... nie wiesz jak szalenie jestem zazdrośny.

Spojrzała na niego bystro, jakby chcąc dociec czy mówi seryo, usta jej i oczy uśmiechały się do niego, wlepił w nią iskrzące spojrzenie które ją niewymownie zmięszało, zarumieniła się i odsunęła instynktownie.

On objął ją ramieniem i składając na jej ustach gorący pocałunek, zawołał; „kocham cię, Izo, i chcę żebyś została moją żoną.

W godzinę później, goście zebrani na pikniku zaczęli się rozjeżdżać. Lord Dynely miał odwieźć Izę swoim powozem, który liczne otoczyło grono gdy już mieli odjeżdżać.

Iza była cała promieniejąca, jakby jaśniejąca szczęściem, lord Dynely zaś, na pozór przynajmniej był jak zwykle, zimny, obojętny, jakby znudzony, i dopiero zostawszy sam z Izą w faetonie już nic a nic się nie nudził.

„Jutro pomówię z twoim ojcem! rzekł do niej, i naturalnie wiemy naprzód co odpowie. Dam ci pierścionek zaręczynowy; pozwól mi na miarę tego pierścioneczka z turkusów i z pereł.

— Oh! zawołała z odcieniem boleści w głosie, jest to pierścionek który dostałam od Terrego!

— Czy tak? rzekł zimno Dynely, zdejmując jej z palca pierścionek i chowając go do kieszeni kamizelki, zatem oddamy go Terremu i może ofiarować go Wiktoryi, Ewangelinie, Józefie lub komu tylko zechce. Odtąd już od nikogo z mężczyzn nie możesz przyjmować pierścionków, i do końca życia tylko dane ci przezemnie nosić będziesz.

Rozdział XII.

Wybór.

Wieczór w wikaryacie zszedł bardzo przyjemnie; dzień rozkoszny zakończył się rozkosznie. Tak był to dzień rozkoszny, uroczy przynajmniej dla Izy i dystyngowanego jej wielbiciela. Nie okazywali zbytecznie wewnętrznego swego upojenia; grali i śpiewali razem jak zwykle, ale oczy Izy błyszczały radośnym blaskiem szczęśliwéj miłości a na rozpromienionéj twarzy Eryka można było czytać tryumf zwycięzcy, na ustach uśmiech zadowolnienia podzielonej namiętności. Pili herbatę z filiżanek porcelanowych wielkości łupiny od jaja i dzielili się ciasteczkami i małemi kawałkami bułki z masłem.

— Przyjdę jutro jak można najraniej dla pomówienia z ojcem twoim, moja ty śliczna pieszczotko, a teraz dobranoc, królowo róż w ogrodzie hurysek. Śnij o mnie, luba moja!

Mogłażby nie myśléć i nie marzyć o nim?... Ścigała go wzrokiem dopokąd tylko dojrzéć go mogła. Jakże on piękny, wysoki, szlachetny i dobry! Któż śmiałby się z nim porównywać!... Tak wysokie zajmuje stanowisko i w swej bezmiernéj wspaniałomyślności raczył zstąpić aż do niej, pokochać i chce aby została jego żoną! O! szczęśliwa, stokroć szczęśliwa, jakiż śmiertelnik równem szczęściem pochlubić się może? widocznie jakaś dobroczynna wieszczka opiekuje się nią od urodzenia, skoro została wybraną przez ulubieńca losu.

„Mój kochany.... mój jedyny.... szeptała bezwiednie składając ręce jakby do modlitwy, aż zbudził ją z rozmarzenia szelest kroków szanownego Edwina Meeke i Elżbiety.

— Czy chcesz tak całą noc przyglądać się księżycowi? zapytała oschle starsza siostra. Rosa opada a masz na sobie grenadinową suknię. Gdzież on jest?

— Lord Dynely już odjechał, odpowiedziała uprzejmie. Dobranoc, panie Meeke.

I orzuciła go pełnem litości spojrzeniem.

„Biedny on, pomyślała; jakież to życie gotuje mu Elżbieta! jakże to odmienną będzie moja i jej przyszłość!

Litowała się niewymownie nad temi biednemi istotami, zawierającemi tak poziomy i trywialny związek, litowała się nad wszystkiemi siostrami swojemi które nie znały i nie zaznają nigdy tak świetnego losu, takiego szczęścia jak ona.

„Czemże mogłam zasłużyć sobie na tak wielkie, tak bezmierne szczęście? mówiła sobie, a błogi uśmiech opromieniał młodziutką jéj twarzyczkę. Czyż zdołam kiedykolwiek dowieść że umiem je cenić, dowieść że umiem być wdzięczną?

W tem zadrżała i cofnęła się, uśmiech z ust uleciał, rumieniec wstydu i pomięszania na twarz jej wystąpił—obok niej stanęła wysoka postać Terrego.

„Przez cały dzień nie mogłem ani paru słów pomówić z tobą, Izo, rzekł, starając się okazać swobodnym. Lord Dynely nie odstępował cię ani na krok.... śliczny wieczór!.... przejdźmy się trochę po ogrodzie.

— Cóż znowu! już północ, odpowiedziała śmiejąc się;—a z resztą jestem nadzwyczaj znużona... Dobranoc, Terry.

I lekka jak ptaszek wbiegła na schody, ręką przesełając mu pożegnanie.

Córki wielebnego pastora Higgins sypiały po dwie w jednym pokoju. Na nieszczęście towarzyszką Izy była Elżbieta. To też gdy w pół godziny potém weszła do pokoju i zastała Izę przy otwartém oknie, zapatrzoną w księżyc, nie troszczącą się ani o rosę ani o grenadinę, zatrzasnęła z gniewem okno, rozkazując oschle Izie aby raz już skończyła te niedorzeczności i udała się na spoczynek.

Usłuchała rozkazu i nawet zasnęła, ale przebudziła się tak rano iż widziała wschód słońca oświecającego nowy dzień szczęścia i zapuszczającego swe promienie do jéj pokoju. I słyszała śpiew niezliczonych ptasząt po za oknem, a we wnątrz głośne chrapanie Elżbiety:

Znów przyszedł jéj na myśl Edwin Meeke; roześmiała się i wzruszyła ramionami patrząc na Elżbietę śpiącą z otwartemi ustami i chrapiącą tak niemile, i żal się jéj go zrobiło. Wstała i zaczęła się ubierać, myśląc o wczorajszém szczęściu. Dziś przyjdzie on oświadczyć się ojcu, przyjdzie za dwie, najpóźniej za trzy godziny. Ubierając się pośpiewuje wesoło; radość ożywia jéj serce, zbiega szybko ze schodów a rozciągnięty na nich dywan głuszy szelest jej kroków; śpieszy do ogrodu odetchnąć świeżém, orzeźwiającem porannem powietrzem. W domu wszyscy śpią jeszcze, ale przyroda dawno się już ocknęła, wszystko oddycha życiem i szczęściem. Najlżejsza chmurka nie zasępia jasnego nieba, róże wznoszą ku niemu swe kielichy różnobarwnych cieni, od mocno czerwonych aż do blado różowych białych jak śnieg, setki ptaków rozwodzą śpiew poranny, a ponad wszystkiem wznosi się promieniejące słońce w całym blasku swéj świetności.

Śpiewając ciągle zwróciła się ku kracie i wsparła o nią, ale śpiew jéj doszedł uszu porannego ptaszka, który stał pod wiązem i palił cygaro. Zadrżał, rzucił cygaro i przebiegł zroszoną łąkę aby zbliżyć się do niéj. Był to Terry.

Terry spędził noc bezsenną, pomimo pięknéj otaczającéj go przyrody, jest smutny i niespokojny. Widzi że Iza sposępniała i przestała śpiewać gdy tylko go spostrzegła.

Ładne jéj oczy, według niego najpiękniejsze w świecie, zdradziły przykre ogarniające ją uczucie.

— Tak rano wstałaś, Izo, rzekł uśmiechając się lekko, widzę nie zmieniasz tego dobrego swego zwyczaju. Cóż, czy wypoczęłaś już po wczorajszém zmęczeniu?

— O tak! dziękuję ci Terry, czy dobrze spałeś i przyjemne miałeś sny?

— Nie spałem i o niczém nie śniłem, odrzekł poważnie.

Spojrzała na niego i zaczęła oskubywać listki róży rosnącéj przy kracie. On ujął tę niszczącą rączkę uścisnął i spojrzał na paluszek na który włożył pierścionek z pereł i turkusów.

„Nie masz go?... rzekł niespokojny,

Wysunęła mu rękę wpół przestraszona, wpół zmięszana i milcząła.

„Izo przyrzekłaś mi nosić go zawsze.

— Przepraszam cię, Terry, nic nie przyrzekałam. Włożyłeś mi go sam na palec i nosiłam go aż...

— Aż... dokończ, Izo.

Ale jak widać nie myślała tego zrobić. Odsunęła się od niego i znów zaczęła obrywać róże.

— Aż dokąd, Izo? odpowiedz proszę.

— Dobrze więc—aż do wczorajszego wieczora.

— A wczoraj wieczór cóż się stało z pierścionkiem?

I chciał spojrzéć jéj w oczy, ale pochyliła się nad krzakiem i milczała.

„Izo!.. Izo!.. zawołał, co to wszystko znaczy?... kto wziął mój pierścionek?...

Tak przyciśnięta zdobyła się na odwagę i odpowiedziała z pewnem zuchwalstwem.

„Wczoraj wieczór wziął go lord Dynely i miał prawo to uczynić. Odtąd już od nikogo z mężczyzn nie mogę przyjmować pierścionków, i do końca życia tylko dane mi przez niego nosić będę. Jutro zwrócę ci dany mi pierścionek. Nie chciałabym cię obrazić, Terry, ale... ja go kocham,..“

Odwaga odbiegła ją równie szybko jak przyszła, zaczerwieniła się mocno i znów zaczęła szarpać nieszczęśliwe róże.

Terry stał blady i milczący, jak człowiek w którego nagle śmiertelny cios ugodził.—a jednak spodziewał się tego, wiedział o tém... lecz nie ujęło mu to boleści, nie osłabiło strasznego ciosu.

Przerażało ją to milczenie; spojrzała z pod oka na Terrego, a ujrzawszy śmiertelną bladość jego twarzy przestraszyła się jeszcze więcéj.

„Oh! Terry, nie unoś się gniewem, wyjąkała a łzy zrosiły jéj oczy. Mogłażem zadać gwałt memu sercu? on taki piękny, szlachetny, wspaniałomyślny, czyż mogłam, czy ktokolwiek mógłby go nie kochać?„

— Tak, odparł Terry, a usta jego ściągnęły się dziwnie i głos stał się cierpkim, nie mogłaś mu się oprzéć; tyś dziecko a ja miałem cię za kobietę... Ty nie mogłaś nie wpaść w jego sidła, ale on—on jest nikczemnik!

Zadrżała, żywo dotknięta tym uczynionym mu zarzutem.

„To fałsz! zawołała z oburzeniem. Jak śmiesz Terry... mówisz mi w jego nieobecności, czego nie miałbyś odwagi powiedziéć mu w oczy, On jest najlepszym, najszlachetniejszym z ludzi i kocham go całą duszą.“

Zwrócił się ku niéj, głębokie utkwiwszy w nią spojrzenie. potém ujął jéj ręce i zdawał się rozmyślać; oczy jego zabłysły nieprzepartą dumą.

„Kochasz go, Izo?

— Kocham z całéj duszy, z całego serca, kocham tak bardzo iż umrę jeżli go stracę.

— I on zapewnie powiedział ci że cię kocha?

— Powiedział i wiem o tém. Jestem tego tak pewna jak tego że żyję.

Puścił jéj ręce i wsparł się o filar kraty.

„Powiedział ci i wiesz o tém. Chciałbym bardzo wiedziéć ilu też tuzinom kobiet lord Dynely powiedział to samo przez dwadzieścia—jeden lat swego życia. Żyjemy w wieku w którym wszystko pośpiesznym idzie torem, ale myślę że nie wielu ludzi dorównałoby lordowi Dynely. Ciekawy jestem co na to powie Fanny Forrester.

Rumieniec gniewu znikł z jéj twarzy, zagasł ogień błyszczący w oczach. Stała przed nim znękana i blada—zapomniała o pannie Forrester.

„Panna Forrester! zapomniałam o niej... zapomniałam zupełnie. A wczoraj wieczór mówił mi..... mówił..

— Nie mówił zapewne ani słowa o pannie Forrester, jestem tego pewny, rzekł Dennison ze smutnym uśmiechem. Nie powiedział iż jeszcze w dziecinnych latach zostało ułożone że ma się z nią żenić; że przed trzema tygodniami powrócił do domu aby się jéj oświadczyć, że prosił jéj, błagał, zaklinał aby mu nie odmawiała, i że kazała mu oddalić się i czekać na jéj stanowczą odpowiedź, która, jeźli będzie przychylną, ślub ich ma się odbyć w Londynie na przyszłą wiosnę. Wiem to od jego matki. Co bądź mówił ci wczoraj wieczorem, jestem pewny że nic nie powiedział o tém.

— Nie, odrzekła zaledwie dosłyszanym głosem, a usta jéj zbladły—nic mi nie mówił o tém.

— Jest jednak jedna. może korzystna dla ciebie szansa, rzekł po chwili. Jakkolwiek wyda ci się to niepodobnem do uwierzenia, wiedz jednak że wdzię-

ki i piękność twego bóstwa, żadnego na pannie Forrester nie wywierają wrażenia. Nie kocha go wcale, bo go zna i uważa za najniestalszego z ludzi, za człowieka na którym kobieta nie może zakładać swego szczęścia, zatem bardzo się ucieszy iż nareszcie zostanie wolną od jego nalegań i zalotów. Ale co się ciebie tyczy, Izo, nie jesteś pierwszą ani nawet setną której lord Dynely wieczną przysięgał miłość, i mogę ci zaręczyć że nie będziesz ostatnią jeźli mu najlżejszą do tego nastręczysz sposobność. Jeźli więc tak go kochasz i pragniesz na zawsze do siebie przykuć, to radzę weź ślub jak najśpieszniéj, trzeba kuć żelazo póki gorące.“

Nie odpowiedziała ani słowa. Stała blada i nieruchoma, zgnębiona tem co jéj powiedział.

Widząc ją tak zněkaną, gorycz szarpiąca jego serce zamieniła się w słodkie uczucie litości i współczucia.

— „Przebacz mi, Izo, rzekł łagodnie; jestem brutalem, nie powinienem był mówić ci tego. Ale ja cię tak kochałem... kochałem całe życie... tak ufałem tobie... ufałem jemu...

Spuścił smutnie głowę, jéj smutek połączony z jego boleścią, o! to już przechodziło jego siły... Iza zwróciła się prędko w jedną z alei ogrodu i znikła mu z oczu.

W parę godzin potem, zegary wybiły jedenastą; lord Dynely zsiadał z konia przed kratą i przywiązał uzdę do filaru o który Dennison opierał się rano. Nim doszedł do domu, jakiś wiotki biały cień ukazał się w jednéj z ulic ogrodu, i skinął na niego aby nie szedł daléj.

„Ach! to ty, ukochana moja, rzekł wesoło, czekasz na przybycie wiernego swego rycerza. Wszak nie spóźniłem się? a już to ranne wstawanie, jak wy tu na téj pustyni macie zwyczaj, wcale nie jest moim przymiotem.

Pochylił się chcąc ją uściskać, ale odsunęła się prędko.

— Zatrzymaj się chwilkę, rzekła łagodnie, mam ci coś do powiedzenia. Rozmawiając ze mną wczoraj wieczór, lordzie Dynely, gdy wyznałeś mi że mnie kochasz, nie powiedziałeś.. mi nic o pannie Forrester.

Poczerwieniał a oczy niebieskie zabłysły gniewem o który u niego było tak łatwo.

,,Kto porozpowiadał ci o tem? zawołał. Ale nie potrzebuję pytać; nikt inny tylko pan Terencyusz Dennison.

— Wiem o tem już od dawna, odpowiedziała przerażona gniewnem jego spojrzeniem; drżała jak przestraszone dziecko, postanowiła jednak mówić daléj, wiedziałam, tylko zapomniałam... O! lordzie Dynely... byłeś bardzo, bardzo okrutnym... po co było mówić mi to wszystko, skoro od dziecinnych lat byłeś zaręczony.

I ukrywając twarz w dłonie, głośnym wybuchnęła płaczem.

— Po co, po co tu przybyłeś?... czemu chciałeś pozyskać miłość moją?... jak mogłeś tak mnie zdradzać?... Wiem że nie jestem godną ciebie; ale przed twojem tu przybyciem byłam szczęśliwa.... byłabym...

— Byłabyś poszła za pana Dennisona i całe życie używała niezamąconego szczęścia. Czy to chciałaś powiedzieć, panno Higgins?

Stał przed nią z rękami skrzyżowanemi na piersiach: usta wykrzywione szyderskim śmiechem, co bardzo szpeciło piękną twarz jego.

,,Widzę że dziś rano Terry bronił swéj sprawy rzucając na mnie potwarze. Pominąwszy inne względy, prosta wdzięczność dla matki mojéj któréj łasce wszystko jest winien, powinna była skłonić go do milczenia, ale wdzięczność to przestarzała cnota, wycofana z obiegu w naszem stuleciu. Skoro tak dajesz powodować się panu Dennison i tak wielki wpływ wywiera na ciebie, nie godzi mi się pozbawiać cię jego ręki i miłości; oto pierścionek jego, pozwól mi włożyć go na twój palec i zapomnij wszystkich niedorzeczności jakie wypowiedziałem ci wczoraj wieczór.

Z piersi jéj wydarł się ostry krzyk, jak z piersi silnie i niespodzianie uderzonego dziecka.

Krzyk ten niespodziewane wywołał następstwo. Na odgłos jego w jednéj chwili ochłonął z gniewu i gwałtownie przycisnął ją do serca.

„O! przysięgam że nikomu nie dozwolę wydrzeć mi ciebie! zawołał, ty a nie żadna inna będziesz moją żoną. Jesteś moją, moją jedynie i zabieram cię jak moje największe dobre. Zaprzeczam wszystkim bez wyjątku rzuconym na mnie przez Dennisona potwarzom. Nie jestem zaręczony ani z panną Forrester ani z jaką bądź inną kobietą. Panna Forester nie myśli o mnie równie jak ja o niéj; był to tylko projekt ułożony przez moją matkę i jéj opiekunkę, bez jéj ani mego współudziału... Ja ciebie jedną kocham tylko i chcę pojąć za żonę, żadnéj innéj. Gdzież jest twój ojciec?... W swoim gabinecie?... Dobrze, idę więc raz już rozmówić się z nim stanowczo, aby położyć koniec wszelkiéj wątpliwości.“

I wielkim krokiem poszedł ku domowi z dumną i wyniosłą miną i wprowadzono go do gabinetu pana Higgins. W kilku słowach, wypowiedzianych z pewną arrogancyą i wyższością, objawił cel swego przybycia; pokochał Izę i pragnie ją zaślubić. Poczem usiadł wpatrując się w pastora. Zawiódł się bardzo jeźli się spodziewał olśnić go swojem oświadczeniem.

Pan Higgins literalnie osłupiał i odsuwając na czoło okulary, patrzył zdumiony na młodego pretendenta.

— Jakto, lordzie Dynely, chcesz poślubić moją córkę.. moją Izę... O! to niepodobna... najzupełniéj niepodobna....

— Czy mogę zapytać co w tem jest tak niepodobnego? zapytał wyniośle, prawie z gniewem.

— Ależ, Boże odpuść! Iza jeszcze za młoda do zamążpójścia, a za dwa lub trzy lata, ma zostać żoną Terrego Dennison... Od dawna, od bardzo już dawna jest postanowione, że Iza pójdzie za Terrego.

— Czy wolno zapytać cię, panie Higgins, rzekł jeszcze wyniośléj i dumniéj, z jakiego tytułu przekładasz nademnie pana Dennison?

— Ta! ta! ta!... nie gniewajże się, mój młody panie... Boże odpuść, na co się to zdało... Chcesz się żenić z moją Izą, na honor! nic podobnego nigdy mi w głowie nie powstało... Z jakiego tytułu przekładam Dennisona?... No, ze stanowiska światowego, pan jesteś bez zaprzeczenia daleko świetniejszą partyą, ale z drugiéj znów strony, tak dobrze znamy Terrego, oddawna już prawie należy do rodziny i jest zacny, bardzo zacny chłopiec, nie obawiałbym się więc złożyć w jego ręce szczęścia i przyszłości méj córki.

— A obawiasz się pan mnie je powierzyć? rzekł wyniośle Eryk, blady z gniewu.

— Nie, nie, tego nie mówię; do licha, nie bądźże pan tak pochopnym do wyprowadzania wniosków. Chciałem tylko powiedzieć że Terrego znam daleko lepiéj i pokładam w nim najzupełniejsze zaufanie, i że związek ten od dawna już jest ułożony i Iza nie ma prawa zdradzać Terrego. A daléj, cóż na to powie kuzynka pana, nie, podobno nie jest kuzynką — pojmujesz pan że mówię o pannie Forrester.

— A więc, zawołał unosząc się, co za związek ma z tem panna Forrester?

— Ten, że jak przynajmniéj mówią, jesteś pan z nią zaręczony.

— Kto to panu powiedział, skłamał! nigdy nie byłem zaręczony ani z panną Fanny Forrester, ani z żadną inną, zawołał nie posiadając się z gniewu. Czy z tego wszystkiego mam wnosić że odmawiasz mi pan ręki swéj córki?

— Doprawdy, odrzekł mocno zakłopotany pan Higgins, sam nie wiem co odpowiedzieć... Zaskoczyło mnie to tak niespodziewanie... zawsze uważałem Izę za narzeczoną Terrego.

Tego było już nadto, przebrała się miara cierpliwości lorda Dynely, gwałtownym uniesiony gniewem zerwał się z krzesła.

— Ależ uspokój się, milordzie, rzekł pastor tonem prośby; cóż na to mówi Iza?..... czy kocha pana?

— Raczyła zaszczycić mnie swoją miłością.

— Jest to nadspodziewanie świetna dla niéj partya, a jednak, dodał drżącym nieco głosem, zdaje mi się że byłaby szczęśliwsza gdyby poszła za...

— Znieważasz mnie pan, panie Higgins, niepodobna słuchać dłużéj takich obelg... Żegnam!

— Wierzaj mi, lordzie Dynely, nie miałem zamiaru ci ubliżyć... Jeźli chcesz koniecznie i jeźli Iza cię kocha, więc... więc... nie będę się sprzeciwiał. Ale trzeba żeby matka pana zezwoliła na ten związek, gdyż nigdy żadna z moich córek nie wedrze się gwałtem do nie chcącéj jéj przyjąć rodziny. Jeźli lady Dynely zezwoli i ja nie odmówię... Jednakże, dodał cicho, z żalem potrząsając głową, wolałbym żeby poszła za Terrego.

Zadraśnięty w swéj pysze, lord Dynely skłonił się lekko i wyszedł; stawiany opór utwierdził go jeszcze w powziętem postanowieniu. Klął zacisnąwszy zęby, i przysięgał że Iza będzie jego na złość wszystkich ograniczonych pastorów i wszystkich matek układających najniestosowniejsze związki.

— Pastor pozostał w swoim fotelu; przymrużył oczy rażone blaskiem słonecznym, a w duszy jego zbudził się jakiś żal cichy i nieokreślony.

,,Jest to, mówił sobie, bardzo piękny, wysoko urodzony, starannie wychowany, utytułowany i bogaty młodzieniec, a jednak jakoś się go boję. Tacy to właśnie świetni paniczowie ranią i zakrwawiają serca żon z największem lekceważeniem. Jest to nadzwyczaj świetna partya dla mojéj córki, jednak ja wolałbym Terrego.

Wyszedłszy, lord Dynely spotkał się oko w oko z Terrym; zatrzymał się i spojrzał nań wyzywająco, iskrzącemi gniewem oczami.

,,No, mój kochany, rzekł z pogardliwym śmiechem, wiesz już zapewnie najświeższą wiadomość... żenię się z Izą. Powinszuj że mi przecie. Gniewasz się że polowałem na twojem polu... ale cóż na to poradzić że śliczna Iza ma tak zły gust, iż mnie przekłada nad ciebie... a w miłości jak na wojnie, dobry jest każdy środek doprowadzający do celu... Czy nie możesz mi wskazać gdzie jest Iza?... a! widzę ją tam na ławce! Nie staawiajże takiego marsa kochany kolego, na cóż ci się to przyda!

Drwił, śmiał się i zapaliwszy cygaro odszedł, zanim Terry zdołał mu coś odpowiedzieć.

Rozdział XIII.

Szczęśliwéj drogi.

„Norton!

— Jestem, milordzie!

— Zapnij mój podróżny tłomoczek i przygotuj wszystko; wyjedziemy pociągiem odchodzącym o 9-éj minut 50. Wracam do Dynely.

— Dobrze milordzie.

— Niech kabryolet zajedzie za kwandrans; pociąg odchodzi za pół godziny. Wszak w kwandrans dojedziemy do stacyi?

— Tak, milordzie.

— Podaj mi woreczek z tytoniem i książeczkę z papierem na papierosy.

Rozkazy te wydawał lord Dynely powoli, jakby drzemiąc, leżąc wyciągnięty na sofie. W tem nagle zapukano do drzwi, proszę! rzekł lord i Terry wszedł do pokoju.

Była dziewiąta rano, nazajutrz po rozmowie z pastorem w jego gabinecie.

Dopiero dziewiąta, a lord Dynely który zwykle wstawał i pił śniadanie aż o dwunastéj, był już ubrany, a nadto gotów do wyjazdu, pomimo tak rannéj pory.

Jak to już powiedzieliśmy, był to dandy najczystszéj wody, i tak trudno było go zadowolnić krojem lub fasonem sukni, jak najpierwszą, najwybredniejszą piękność gdy idzie o toaletę ślubną. Najpierwszym krawcom znalazł coś do zarzucenia. najlżejsze zagięcie w krawacie, choćby najlepiéj przypadającym mu do twarzy, na kilka godzin wprawiało go w zły humor.

Suknie jakie w téj chwili miał na sobie, tak pod względem kroju jakoteż barwy i materjału, najlżejszemu nie podlegały zarzutowi, był więc w dobrem usposobieniu. Spojrzał wesoło na wchodzącego Dennison'a a że od wczoraj miał czas ochłonąć z gniewu i był w dobrym humorze, chciał być w zgodzie ze wszystkiemi. Wprawdzie ojciec Izy, był najnieznośniejszym nudziarzem, ale zato Iza była taka śliczniutka, a gdy raz zostanie jego żoną, postara się aby jak najrzadziéj widywała się z całą swoją rodziną.

Co się tycze Terrego — no, zastanowiwszy się na zimno, po dobrym obiedzie i z doskonałem cygarem w ustach, zmuszony był przyznać że biedak ten miał trochę słuszności i miał prawo się żalić. Wypłatał mu bowiem brzydkiego figla, przeciw któremu protestował nawet luźny kodeks honoru i prawości, obowiązujący w jego świecie, ale co się stało już się nie odstanie. Dennison musi pogodzić się z losem, bo za nic i dla nikogo on nie wyrzeknie się Izy. Nadspodziewanie spotykane przeszkody, spotęgowały jego namiętność; dotąd, w całem życiu swojem, nie brał tak gorąco do serca żadnéj ze swych spraw miłosnych.

Pojedzie do matki i nakłoni ją do swego żądania. Już to z początku pewnie będzie się opierać z powodu Fanny, ale potrafi ją przekonać.

Co do Fanny Forrester, gniewało go trochę że musi się z nią widzieć. Szyderstwo drażniło niewymownie jego miłość własną, a wiedział że Fanny szczędzić mu nie będzie szyderskich spojrzeń, sarkastycznych uśmiechów, drwiących słówek i ostrych docinków, odnoszących się do jego osoby i zamiarów. „Kto ona?" Doprawdy ta dziewczyna to istna czarodziejka. Kobieta tak bystra i przenikliwa, to wielki błąd przyrody. Na co się to zdało? Kobiety stworzone są dla przyjemności, użytku i uciech mężczyzn, i trzebaż że przynajmniéj połowa ich obdarzone są zdolnościami i przymiotami jakich mężczyźni widzieć w nich nie pragną. Bodaj to Iza! śliczna jéj główka nie trudzi się myśleniem, i dla tego właśnie jest dla niego ideałem kobiety.

Tak, matkę zdoła nakłonić; pojedzie z nim, pozna Izę, oświadczy go i pobiorą się cicho i bez rozgłosu jeszcze przed Bożem Narodzeniem, a zimę przepędzą we Włoszech. Na przyszły sezon lady Dynely przyjedzie do Londynu, który uzna ją za najpiękniejszą, najmilszą, chlubnie świadczącą o dobrym guście jéj męża.

— O tem wszystkiem myślał lord Dynely w nocy, a myślał z zadowolnieniem. Teraz leżąc rozciągnięty na sofie, zawijał wprawnie papierosy, z uśmiechem na ustach i w oczach spoglądając na Dennison'a.

„Witaj, Terry, rzekł wesoło; zruć to z krzesła proszę cię i siadaj. Jak widzisz, wybieram się w drogę; może masz jakie zlecenie do matki mojéj lub do Fanny?

— Oddam ci list do lady Dynely, odrzekł Terry.

Był poważny i blady; Eryk dostrzegł pod wąsami jego zsiniałe, zaciśnięte usta.

— Zapewnie nie prędko się z nią zobaczę, mówił Terry, w tym tygodniu jadę do pułku mego, konsystującego w Windsor.

— Ach! już się skończył twój urlop. Norton, idź każ zaprzęgać, za dziesięć minut odjeżdżamy. Nie bardzo to gościnnie z mojéj strony, Terry, tym więcéj że nader rzadko w tak rannych godzinach przychodzisz do Carruthers'ów; ale sam widzisz że czas nagli. Pociąg odchodzi za dwadzieścia pięć minut, a wiesz jak daleko do stacyi.

— Nie będę cię zatrzymywał, odrzekł, więcéj jeszcze zaciskając usta, chciałem tylko pomówić parę słów o Izie.

Lord Dynely skończył właśnie zwijać papierosa; spojrzał na towarzysza z uśmiechem pod którym kryła się czelność i dworowanie, wziął zapałkę i zapalił cygaro.

— O Izie! powtórzył; słucham cię Terry, nie mogłeś wybrać milszego przedmiotu rozmowy. Jakże się dziś miewa śliczna pieszczotka.

— Nie będę mówił o postępowaniu twojem w téj okoliczności, lordzie Dynely, mówił Terry, bo sam zapewnie czujesz że potępia je honor i uczciwość... Co do Izy, ta może nie zasługuje na naganę...

— Co za wspaniałomyślność! Iza może nie zasługuje na naganę! Nigdy nie oświadczyłeś się o jéj rękę, i teraz gdy raczyła mnie przełożyć nad ciebie i przyrzekła mi swą rękę, mówisz: że może nie zasługuje na naganę. I jakiejże dopuściła się winy? Czyż ty sam, Terry, jako jéj przyjaciel, nie musisz przyznać że świetniejszy los ją czeka jako lady Dynely, niż gdyby została mistres Dennison.

Eryk mówił powoli i przytłumionym głosem, ale gniew błyszczał w jego oczach. Patrzył na Terrego przez kłęby dymu, i widział silny rumieniec jaki wystąpił na twarz jego.

— Tak, odrzekł po chwili Terry, zniżonym, dziwnie zmienionym głosem; świetniejszy los ją czeka jako żonę lorda Dynely niż jako żonę Terrego Dennison. Ponieważ formalnie nie oświadczyłem się o jéj rękę, więc pomimo iż wiedziała o dawno powziętem postanowieniu, uniewinniam jéj postępowanie. Kocha ciebie, mnie nie kochała nigdy; powinienem był to przewidzieć, ale ślepo ufałem wam obojgu...

— Mam już tylko siedm minut czasu, rzekł powolnym głosem lord Dynely patrząc na zegarek; zmuszony więc jestem przerwać tę rozmowę.

— Musisz wysłuchać co mam ci powiedzieć, rzekł energicznie Terry, stając przed nim. Wiem jak postępujesz z kobietami i jak je traktujesz; jak ponętnym być umiesz aby usidlić ich serca, jak okrutnie opuszczasz je potem — otóż przychodzę powiedzieć ci abyś podobnie nie postąpił obecnie. Iza nie ma brata lub ojca który mógłby stanąć w jéj obronie, ja będę tym bratem skoro już nie mogę być czem innem. Przez przywiązanie do matki twojéj, nie chciałbym nigdy podnieść ręki na ciebie, ale przysięgam ci że jeślibyś zdradził Izę tak jak tyle innych, przysięgam ci, Eryku, że odpowiesz mi za to."

I zaciśniętą pięścią uderzył w stół, żyły nabrzmiały mu na czole od wewnętrznego wzruszenia.

Lord Dynely uśmiechnął się lekko i wyrzucił cygaro za okno.

„Wybornie, rzekł, ale możnaby to wszystko powiedzieć spokojnie. Wiesz, mój drogi, że jak na amatora, wcale dobrze deklamujesz, ale deklamacyj, lepiéj jeszcze oddanych, można się nasłuchać w teatrze. Wygłoszone uczucia wielki ci przynoszą zaszczyt, ale przerażający ten zapał jest całkiem niestosowny, szczególniéj w sierpniu w tym i tak już gorącym miesiącu.

— Powiedziałem coś powinien usłyszeć, odrzekł Dennison. Znam cię i wiem że lubisz ze wszystkiego robić sobie igraszkę, śmiéj się jeźli chcesz ale nie zapominaj co powiedziałem. Jak Bóg na niebie, odpowiesz mi życiem jeźli względem niéj dopuścisz się jakiejś nikczemności. Nie pozwolę abyś usidliwszy jéj serce porzucił i przywiódł do utraty zmysłów, jak to z tylu innemi miało miejsce. Nie zatrujesz jéj życia i nie zgubisz całéj przyszłości, nie lękając się kary boskiéj ani ludzkiéj; przysięgam ci raz jeszcze, odpowiesz mi życiem jeźli z nią postąpisz nieuczciwie.

— Czas jechać! rzekł Eryk patrząc na zegarek.

Wstał i kładąc rękę na ramieniu Terrego, uśmiechnął się pięknym słodkim uśmiechem, który tak ponętnego dodawał wdzięku pięknéj jego twarzy.

— Słuchaj, Terry, rzekł, nie jestem ani złoczyńcą ani Lowelasem lub don Juanem za jakiego mnie przedstawiasz. Gdyby to być mogło, dziś jeszcze śliczną Izę poprowadziłbym do ołtarza. Jesteś dobrym kolegą, i jak to powiedziałem przed chwilą. uczucia twoje przynoszą ci chlubę. Bardzo naturalnie że cię to obeszło i rozdrażniło, nie mogło być inaczéj; ale wierz mi, w tym razie postępuję szczerze i uczciwie i może po raz pierwszy w życiu zastanawiam się poważnie. Jadę do matki; trzeba żeby tu przyjechała i oznajmiła głośno że pragnie aby Iza została jéj synową. Gdy weźmiemy ślub, przysięgam ci, Terry, ponieważ przysięgi są na porządku dziennym, będziesz ze mnie najzupełniéj zadowolnionym. A teraz, mój drogi, daj pokój deklamacyom bo kaducznie gorąco, daję ci słowo mało się nie roztopię, a muszę oszczędzać sił swoich dla odbycia podróży. Masz tu salcerską wodę i Scherry, napij się i orzeźwij i nagryzmol list do matki, ja tymczasem włożę paletot.

(d. c. n)

Opis do N-ru 27.

(Dokończenie).

N. 11—12. Serweta robiona ściegiem krzyżowym na tiulu grosbotowym.

Na ryc. 11 podajemy próbkę robo-



N. 1. Żabot z koronki przepięty kwiatami.

ty krzyżowej na tiulu, bawełną miękką niekręconą zwaną „Twist" każden deseń krzyżowy złożony z figur regularnych nadaje się do roboty na tiulu, tylko ponieważ krzyżyki są trochę dłuższe niż szerokie, trzeba jak w gwiazdzie ryc. 11, dawać trochę więcej krzyżyków na szerz i na dłuż. W robocie baczyć trzeba ażeby nigdy nitki od spodu nie były pod niezarobionemi oczkami przeprowadzone lecz zakończone i ucięte jeżeli pod zarobieniem przeciągnąć ich niemożna. W taki sposób można robić przykrycia na stoły, firanki i zasłonki do okien, kapy na łóżka i poduszki.



Rycina 12 przedstawia serwetkę trzymającą 78



N. 2. Żabot z muślinu, koronki i wstążki.

centym. w kwadrat, której szlak stanowią jedna z drugą schodzące się gwiazdy ryc. 11, a rzucik jest z małych 5 krzyżyków wysokich gwiazdek; z brzegów szlaku daje się po dwa rzędy półkrzyżyków, robionych w ka-

N. 3. Kapelusz słomkowy opasany wstążką. N. 4. Kapelusz słomkowy zdobny girlandą kwiatów.



N. 5 — 10. Ubrania do przechadzek nad morzem i kąpieli morskich.

N. 5. Suknia z paletocikiem. Krój na arkuszu Nr. VIII, Fig. 27—30a. N. 6. Suknia z vetement. Patrz ryc. 27 w N-rze 29. Krój na arkuszu Nr. VII, Fig. 22—26a. N. 7. Suknia ze stanikiem i pelerynką. N. 8. Sukienka princesse dla małej dziewczynki. Patrz ryc. 33. Krój jak do r. 16 i 18 w N. 22 i 23. N. 9. Ubranie kąpielowe z płaszczykiem. N. 10. Ubranie kąpielowe lub do nauki pływania dla małej dziewczynki.

żdym rzędzie w inną stronę; na ryc. 26 w N. 26, podaliśmy próbkę tego szlaczku, któren z poprzecznych stron trochę odmienny jest od podłużnych, lecz to konieczność wynikająca z układu dziurek. Pod serwety i kapy można dać kolorowe podłożenie a brzegi deseniu obwieść także kolorowo. Brzegi wązko obrąbić i oszyć koronką szydełkową albo irlandzką.



N. 11. Pantofel kąpielowy. Krój na ark. N. V, Fig. 17.

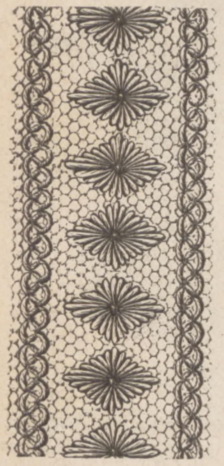


N. 12. Pytlik. Patrz ryc. 27.



N. 14. Koszyczek ozdobiony lambrekinami. Patrz r. 15.

N. 13 — 14 i ryc. 30 w N. 28. **Kołnierzyk** i mankiety ozdobione haftem pospiesznym i kratką.



N. 16. Wszywka wywodzona na tiulu.

Kołnierzyk i mankiety szyją się z potrójnego materyału, w którym wierzch stanowi cienkie płótno; chusteczka może być z perkalu. Szlaczek podany w naturalnej wielkości na ryc. 30 robi się kolorową bawełną dobrą do prania, na oddzielnych listewkach przyrobionych kratką paryzką. Na wywijanych rogach kołnierzyka haft robić na stronie lewej, na mankietach tylko na zwierzchniej podłużnej stronie i 8 — 10 centym. przy zwierzchnim poprzecznym brzegu. W kołnierzyk wszywa się chusteczkę bez paska, a prosta połowa mankietów jest pomiędzy zaokrąglone części wstębnowana.

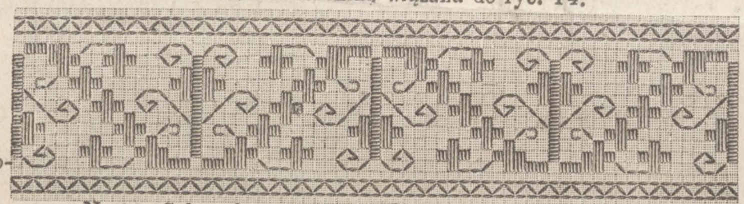


N. 15. Lambrekina wiązana do ryc. 14.



N. 18 — 19. Ręczniki z ruberu ozdobione szlakiem haftowanym.

N. 21. Kokarda z koronką. Dwa pukle 11 c. długie ze wstążki kolorowej 6 i pół cent. szerokiej, stanowią podstawę na której układa się drobno plisowaną 9 centym. szeroką koronkę, której na każden koniec trzeba 50 cent; w środku kokardy razem z koronką przypięte są węzłem.



N. 22. Szlaczek wyszyty śc. gobelinowym do fartuszków.

N. 22. Kokarda ozdobiona haftem krzyżowym.

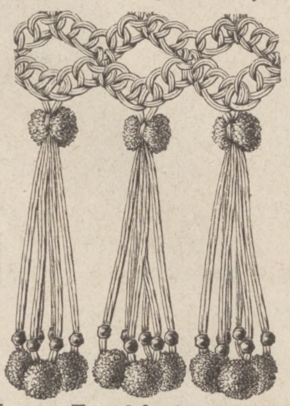
Kokarda układana jest ze skośnego, 11 cent. szerokiego kawałka materyi blado niebieskiej i bordo. Pukle mają 9 i 11 cent. długości, a koniec haftowany 16 centym. Haft krzyżykowy robić filozelą bordo do cieniu, oszyć koniec koronką 3 cent. szeroką.

N. 24. Szkatułka na drobiazgi toaletowe z tafli szklannych malowanych sposobem naśladującym szyldkret.

Szkatułkę wszelkiej dowolnej wielkości robi się z tafelek szkła lagrowego, równo pociągniętych od spodu asfaltem rozrzedzonym płynnym pokostem; następnie na mokrej jeszcze powłoce robi się miękkim pendzelkiem skośne desenie naśladujące szyldkret. Gdy robota wyschnie podkłada się pod tafle szklanne cienką żółtawą tekturę przyklejoną z brzegów do szkła klajstrem. Na tekturę daje się kolorową podszewkę, brzegi każdej tafelki okleja się



N. 23. Ubranie kąpielowe ozdobione haftem r. 10 N. 27.



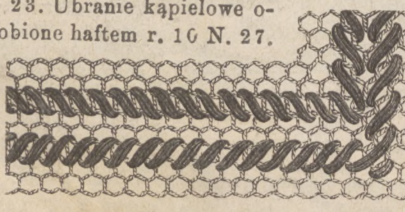
N. 28. Frendzla do ryc. 43.



N. 24. Ubranie kąpielowe naszyte taśmą.



N. 25. Płaszczyk kąpielowy z wyszzciem. Patrz ryc. 28 w N. 27. Krój na arkuszu N. IV, Fig. 14—16.



N. 26. Brzeżek do serwety ryc. 12.



N. 27. Brzeżek dziergany do ryc. 12.

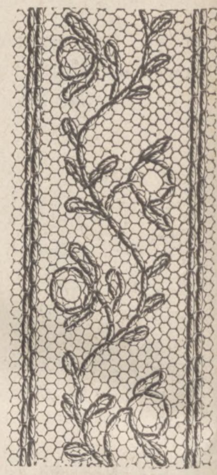
kolorową 2 cent. szeroką wstążeczką, a następnie jedne z drugiemi zeszywa krytym ściegiem.

N. 25. Pudełko na mankiety, ozdobione wyszyciem kolorowem.



N. 13. Czepeczek ceratowy do kąpieli.

Tekturowe pudełko bez dna i przykrycia ochrania mankiety od zgniecenia; model okleiony był z wierzchu dreliszkiem w paski szare i ponsowe, na którym wyszyty był jedwabiem czarnym i ponsowym, deseń podany w naturalnej wielkości na rycinie 30. Wewnątrz pudełko wykleja się ceratą a brzeg górny i dolny okleja się listewką z ponsowego kretonu.



N. 17. Wszywka wywodzona na tiulu.

N. 29. Ząb do lambrekiny. Haft kolorowy na suknie czarnym.

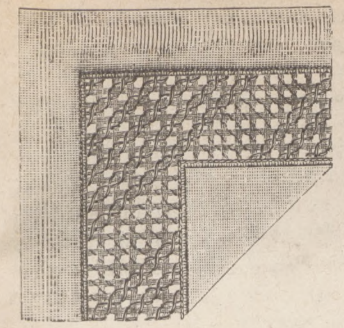
Model lambrekiny haftowany był na suknie czarnym kordonkiem i filozelą dwunitkową cieniowaną. Wszelkie arabeskowe figury robione ściegiem łańcuszkowym, oraz znajdujące się w nich ściegi krzyżowane i supełki robione były kordonkiem piaskowym i orzechowym do cieniu; górne środkowe duże figury w zębach o dznaczone był y kolorem p askowym a zapełnione ściegiem płaskim filozelą majowo zieloną do cieniu, kielich był różowy, punkt pod kielichem niebieski, a kwiat dolny sześcio listkowy w połowie obwiedziony ściegiem sznureczkowym, kolorem oliwkowym, a zapełniony kratką różową, w drugiej połowie sznureczek był różowy a kratka oliwkowa. Boczne kwiaty były orzechowe z niebieskiem a supełki w kielichu żółte, małe górne kwiatki różowe do cieniu, palemki obwiedzione sznureczkiem orzechowym a zapełnione supełkami niebieskiemi.



N. 20 — 21. Ręczniki z ruberu ozdobione szlakami haftowanemi.

N. 36. Ubranie z podwójną draperyą na spódnicy.

Tak kamizelka jak i dwie draperye z przodu na spódnicy były z jasnego materyału w deseń „mille-fleurs,“ stanik zaś, spódnica krótka, boczne i tylny bryt draperyi z gładkiego ciemnego materyału. Stanik z podłużnym wykrojem miał z tyłu baskinę frakową. Spódnica oszyta plisowaniem 21 cent. szerokiem, układanem kawałkami z materyału ciemnego i jasnego. Przednie draperye mają 70 cent. wysokości

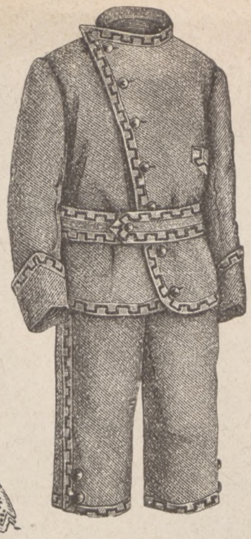


N. 29. Narożnik z kratki ażurowej do kołnierzyków, chusteczek i t. p.

a 120 szerokości, z boków są skośnie zwężone ku górze i sfałdowane w sposób wskazany na ryc. 36 u dołu oszyte plisą ciemno 8 cent. szeroką i białą koronką. Boczne bryty drapeyi mają z przednich, prostych brzegów 60 cent. z tylnych skośnych 70 cent. długości a u dołu 27 szerokości; w górze jest na spódnicy równo z dolną, przednią draperyą przyszyty. Prosty bryt tylny 106 cent. długi a 83 szeroki, jest w górze sfałdowany a z boków trochę podpięty.



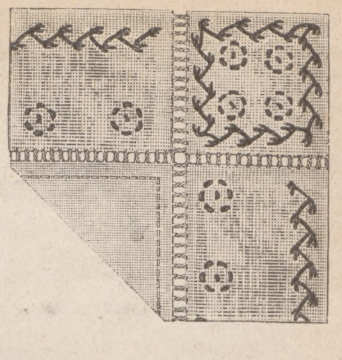
N. 33. Sukienka princesse dla małej dziewczynki. Patrz ryc. 8.



N. 31. Ubranie do gimnastyki dla chłopca lat 6—8. Krój na ark. N. XII, F. 41—46.



N. 34. Sukienka wycięta dla dziewczynki lat 4 — 6. Krój na arkuszu N. IX, Fig. 31 — 33.



N. 30. Narożnik do chusteczek, kołnierzyków i t. p.



N. 35. Paletocik do sukienki ryc. 34 i 38. Krój na ark. Nr. X, Fig. 34-39.



N. 36. Paletocik dla małej dziewczynki.

N. 37—39. Kapelusz wiejski ogrodowy z płótna niewarowego.

Rycina 37—38 przedstawia płasko rozłożoną główkę i rondo kapelusza zrobionego z gęstego i grubego płótna szarego. Rondko urządza się z okrągłego, prostego denka, mającego 36 cent. średnicy, w którem wycina się środek w ten sposób, ażeby koliste rondo miało wszędzie 10 cent. szerokości; z takowego wycina się jeszcze klinik w górze 2, u dołu 10 cent. szeroki. Następnie rondo wszywa się w listewkę podwójną 3 cent. szeroką, a jeden z brzegów poprzecznych podszywa się listewką 1 centym. szeroką, brzeg zewnętrzny i drugi poprzeczny ronda wydziergać w ząbki bawełną szarą lub kolorową, 2 c. od brzegu przystębnować wązką pikową torsadkę, za którą w odstępach 6 centym. wyszyć ściegiem krzyżowym drobne gałązki lub rzucik. Główkę kapelusza stanowi denko okrągłe mające 26 cent. średnicy, wydziergane w zęby 8 cent. szerokie a dwa głębokie. W zębach daje się taki rzucik jak na rondku, a między rzucikiem 8 dziurek do przypięcia główki do ronda, na odpowiednie guziki przyszyte do listewki. Z tyłu rondo zapina się także na 3 guziki. Poprzednio obie części kapelusza muszą być mocno ukrochmalone i na mokro gorącem żelazem wyprasowane, dla nadania im potrzebnej sztywności. Taki gotowy kapelusz widziemy na rycinie 39.

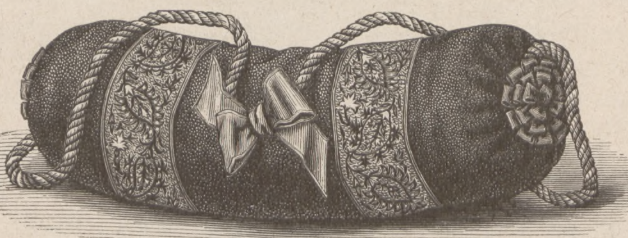


N. 37. Vêtement paletocikowe dla małego dziecka. Krój na arkuszu N. IX, Fig. 31 do 33.

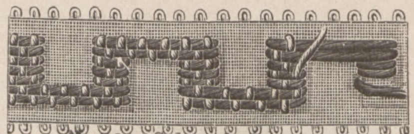
N. 38. Sukienka wycięta z plastronem. Patrz ryc. 34 i 35.



N. 39. Ubranie dla panienki lat 10—12. Patrz ryc. 40. Krój na arkuszu Nr. II, Fig. 2 — 8.



N. 41. Wałek pod głowę. Patrz ryc. 42.



N. 32. Szlaczek do ryc. 31.

Opis do N-ru 28.

N. 1. Żabot z koronki i kwiatów.

Potrzeba na niego 137 cent. koronki bretońskiej, 8 cent. szerokiej, która fałduje się i układa na pasku sztywnego tiulu, podług ryc. 1; z boku przy odwinięciu koronki wpięty bukiecik z fijołków i bzu białego, z pod którego wysuwa się kilka pukli ze wstążki repsowej crême z odmienną lewą stroną.

N. 2. Żabot z muślinu i koronki.

Kawałek muślinu indyjskiego 20 cent. szeroki a 40 długi, z brzegów poprzecznych oszyty koronką 8 cent.



N. 40. Ubranie dla panienki lat 10—12. Patrz ryc. 39. Krój na arkuszu Nr II, Fig. 2—8.



N. 42. Szlak do wałka pod głowę. Haft perski.

szeroką, zaplisowany w całej długości i złożony podług ryc. 2 stanowi główną część żabotu. Węzeł górny i dwa krótkie końce oszyte koronką są z oddzielnego kawałka. Kokardy ze wstążki atłasowej 4 cent. szerokiej.

N. 5—10. Ubrania do przechadzki nad brzegiem morza i kąpielowe.

N. 5. Suknia ze szlakami. Krój paletota na arkuszu Nr VIII, Fig 27—30a.

Beż, zefir lub materyał letni zwany toile de Mulhouse



N. 43. Zarzutka na głowę. Robota szydełkowa i frendzla na ryc. 28 i na ryc. 20 w N. 27.



N. 44. Uczesanie z grzebieniem.



N. 45. Uczesanie z kwiatami.

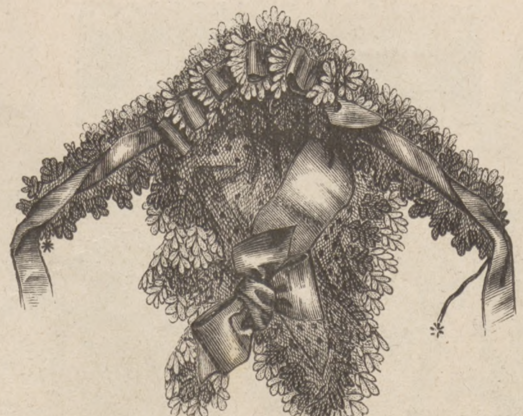
są najodpowiedniejszym materyałem na to domowe ubranie, do przechadzki rannej lub do podróży. Spódnica zakończona plisowaniem i szlakiem 5 cent. szerokiem; paletocik odrobiony bez podszewki podług kroju Nr VIII przybrany odpowiednio do sukni i przepasany paskiem.



N. 46. Pelerynka i czepeczek dla starszej osoby. Patrz ryc. 47. Krój i deseń na arkuszu N. I Fig. 1.



N. 48. Ubranie spacerowe z szalikiem koronkowym i toczek. Patrz ryc. 3 w N. 27.



N. 47. Czepeczek dla starszej osoby rozłożony płasko. Patrz ryc. 46.

Szlaki z deseniem fabrycznym wyszyte są ręcznie na około konturów sutaszem lub ściegiem łańcuszkowym, krzyżykowym i t. p.

N. 6 i ryc. 27 w N. 27. **Suknia** z vêtement. Krój vêtement na ark. N. VII, Fig. 22—26a.

W podróży lub na przechadzkach dalszych sukni z vetement i spódnicą trochę przybraną u dołu są dogodniejsze niż z tunikami, draperyami i stanikiem. Takie właśnie ubranie przedstawiliśmy na rycinie 6 w dzisiajszym i na rycinie 27 w N-rze 27. Krój vetement załącza Fig. 22 — 26 potrzeba tylko części kroju dopełnić podług wskazanych miar. Model był z popielatego beżu a na plisy i kokardy użyć można faille, atłasu lub pekinu; plisy są 11 centym, a plisowanie na sukni 21 centymetrów szerokie. Pelerynka jaką widzimy na rycinie 27 może być z tego co suknia lub z innego podobnego materyału; krój podaliśmy w N rze 19 na rycinie 46.

(*Dok. nast*).



N. 49. Ubranie spacerowe z chusteczką kolorową i kapotka.

TYGODNIK MÓD.

w Warszawie 1879 r.

Dodatek z krojami i deseniami do N. 27 i 28.

N. I. Pelerynka ozdobiona haftem. Rycina 46 w N-rze 28.

Fig. 1. Połowa peleryny i desenia —• —•

N. II. Stanik długi i tunika, dla panienki lat 10—12. Rycina 39 do 40 w N-rze 28.

Fig. 2. Przód (A, B, G, H, I, O) — — —
Fig. 3. Boczek (A, B, C, D) ×·×·×·
Fig. 4. Pierwsza część pleców (C, D, E, F, H) — ○ — ○ —
Fig. 5. Druga część pleców (E, F, G, N)
Fig. 6. Rękaw (I, K, L, M)
Fig. 7. Ranwers (N, O) = × = × =
Fig. 8. Wskazanie kroju połowy tuniki a) połowa przodu, b) klin boczny, c) połowa tylnego bryta.

N. III. Ubranie kąpielowe. Rycina 23 w N-rze 28.

Fig. 9. Połowa majtek (P, Q, R, S, *) 1 założenie
Fig. 10. Połowa przodów bluzy (T, U, V, W, X, :) 1 założenie — * —
Fig. 11. Połowa pleców (T, U, V, W, Z) 1 założenie
Fig. 12. Rękaw (X, Y)
Fig. 13. Połowa kołnierza (Z, :)

Fig. 9a—13a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 9—13.

Fig. 13b. Deseń szerokiego szlaku.
Fig. 13c. Wązki szlaczek.

N. IV. Płaszczyk kąpielowy. Rycina 25 w N-rze 28.

Fig. 14. Wskazanie kroju połowy płaszczyka a) połowa płaszczyka, b) połowa rękawa, c) połowa klina rękawa, d) połowa klina na ramieniu.
Fig. 15. Połowa kapturka (:, *, × 1 do · 1)
Fig. 16. Klapka na ramię

N. V Pantofel kąpielowy. Rycina 11 w N-rze 28.

Fig. 17. Połowa wierzchu — • —

N. VI. Fartuszek z napierśnikiem dla dziewczynki lat 5—7. Ryc. 31 w N-rze 27.

Fig. 18. Połowa przedniego bryta z napierśnikiem (a, b)
Fig. 19. Klin boczny (a, b) — × — × —
Fig. 19a. Deseń haftu.

Szary płócienny fartuszek ozdobiony jest szlaczkiem 12 krzyżyków szerokim, robionym bawełną ponsową i orzechową i oszyty brzeżkiem odrobionym podług próbki Fig. 9a. Pasek 3½ cent. szeroki przeprowadza się pod napierśnikiem, wszywa się w niego kliny i zapina z tyłu na guzik.

Deseme do haftu.

Fig. 20. Szlak do koszyczka ryc. 14 w N-rze 28. Haft sznureczkowy i draperya.
Fig. 21. Część szlaku na długi bok szkatułki ryc. 31 w N-rze 25.
Fig. 21a. Część szlaku na krótki bok szkatułki ryc. 31.

Niektóre duże litery do haftu krzyżykowego.

Piłka robiona na drutach i wypchana watą. Ryc. 28 w N-rze 27.

Piłkę robi się z włóczki angielskiej ściegiem patentowym, zaczynając wzdłuż na o. 19 i robiąc naprzemian 4 rzędy tam i napowrót białe, a 4 kolorowe. Dla zwężenia w końcach nie dorabia się po dwa oczy w rzędzie 2, 3 i 4, a rząd 1-szy w każdym pasku zawsze przez o. 19. Po zrobieniu 80 rzędów tam i napowrót, spaja się piłkę, napycha watą a otwory zarabia się oczkami ścisłemi szydełkiem, zmniejszając liczbę o. w każdym rzędzie. Wyszyć gwiazdki na czubkach i przyrobić sznurek szydełkowy.

Ubranie ze stanikiem z baskiną i długim żabotem. Ryc. 35 w N. 27.

Krótka spódnica popielatej wełnianej sukni, z przodu od połowy długości oszyta jest plisowaniem z atłasu, które z boków i z tyłu ma tylko 25 cent. wysokości. Draperyą z przodu układa się z bryta mającego 92 cent. szerokości a 170 długości, któren ułożony w poprzeczne fałdy do 100 cent. długości, w środku od dołu wycina się w sposób na ryc. 35 wskazany, w górze wszywa w pasek, po dopasowaniu zaszewek podług figury. Dół draperyi oszyty jest skosem 12 cent. szerokim z pekinu albo materyału wełnianego w atłasowe paski, z którego dana także kamizelka i mankiety. Bryt tylny 120 cent. szeroki a 140 długi, przyszywa się u dołu szwem odwrotnym na spódnicy, z jednego boku zakłada się w 3 głębokie fałdy a z drugiego w długi pukiel. Stanik z przodu na dwa rzędy guzików zapięty, poniżej wcięcia w pasie jest wykrojony w sposób wskazany, ażeby widać było kamizelkę i długi żabot ułożony z muślinu i koronki bretońskiej. Wypustki i kołnierz z atłasu.





Dodatek z krojami i deseniami do N. 27 i 28.

N. VII. Vêtement formą princesse do ryciny 6 w N-rze 28 i do ryciny 27 w N-rze 27 Tygodnika Mód.

Miara połowy górnej objętości stanika 52, w pasie 32 cent.

Fig. 22. Przodek (A, E, F, G, M, *) 1 załamanie formy
Fig. 23. Boczek (A, B, *)
Fig. 24. Obiedwie części pleców (B, C, D, E, F, L, ×1 · 1 do ×2)
Fig. 25. Rękaw (G, H, I, K)
Fig. 26. Kołnierz (L, M) ↔ ↔

Fig. 22a—26a. Zmniejszony rysunek całego vêtement.

N. VIII. Paletot do ryc. 5 w N-rze 28.

Fig. 27. Przodek (N, U, V, W, *)
Fig. 28. Boczek (N, O, P, Q, R, :) 1 załamanie
Fig. 29. Plecy (O, P, Q, R, S, T, U, V, *) 1 załamanie
Rękaw podług Fig. 25.
Fig. 30. Połowa kołnierza (S, W)

Fig. 27a—30a. Zmniejszony rysunek całego paletocika.

N. IX. Sukienka wycięta dla dziewczynki lat 4 — 6. Rycina 34 i 38 w N-rze 28.

Fig. 31. Przód (a, b, c, d, g, h, *) 2 załamania formy
Fig. 32. Plecy (c, d, e, f, g, h, *)
Fig. 33. Rękaw (i, k)

N. X. Paletoczk dla dziewczynki lat 4—6. Rycina 35 w N-rze 28.

Fig. 34. Przód (l, m, p, q, r, y)
Fig. 35. Pierwsza część pleców (l, m, n, o, q) — o — o —
Fig. 36. Druga część pleców (n, o, p, x) = × = × =
Fig. 37. Rękaw (r, s, t u)
Fig. 38. Mankiet (s, u, v, w)
Fig. 39. Połowa kołnierza (x, y) + + +

N. XI. Fartuszek z ramiączkami dla dziewczynki lat 4—6. Rycina 32 w N-rze 27.

Fig. 40. Połowa fartuszka. 2 załamania formy.

Fartuszek chroniący sukienkę od splamienia, kraje się w jednej sztuce; ramiączka przyszywa się z przodu a z tyłu krzyżuje i 6 cent. od brzega przypina na guzik. Na rycinie 33 i 34 w N. 27, podajemy próbki dwóch szlaczków, które wraz z wązkim haftowanym brzeżkiem zdobią fartuszek.

N. XII. Ubranie do gimnastyki dla chłopczyka lat 6 — 8 (majtki stanik i kurtka) ryc. 31 w N-rze 28.

Fig. 41. Połowa majtek (1, 2, 3, 4, *, +, ·)
Fig. 42. Połowa stanika (5, 6)
Fig. 43. Przód do kurtki (7, 8, 9, 10, 11, 14, 15) = o = o
Fig. 44. Połowa pleców (7, 8, 9, 10)
Fig. 45. Rękaw (11, 12, 13) × • × • × •
Fig. 46. Patka do kieszeni (14, 15) * * *



Fig. 22a—26a.

Fig. 52.

Fig. 27a—30a.

N. XIII. Kołnierzyk z chusteczką i mankiety. Rycina 13 i 14 w N-rze 27.

Fig. 47. Połowa kołnierzyka (*, :) • • • •
Fig. 48. Przód do chusteczki (16, 17, :) — × — ×
Fig. 49. Połowa pleców do chusteczki (16, 17, *)
Fig. 50. Połowa pierwszej części mankieta (18, 19) — * — * —
Fig. 51. Połowa drugiej części mankieta (18, 19)

N. XIV. Vêtement à panier do ubrania ryc. 2 w N-rze 27.

Zmniejszony rysunek i miary połowy vêtement ryc. 2, które krajać można podług formy do ryc. 1 — 2 w N. 22 Tygodnika Mód.

Deseń do ryc. 18 w N. 25 Tygodnika.

Fig. 53. Wstawka z koronki irlandzkiej do firanek zesuwanych.

Litery do znaczenia bielizny.

Ubranie z draperyą na spódnicy i ze stanikiem paletocikowym. Ryc. 26 w N. 27 Tygodnika Mód.

Dolną część spódnicy stanowi szeroka w kontrafałdy ułożona falbana, zakończona u dołu wązkiem, drobnem plisowaniem. Część górną przykroić można z kolorowego perkalu, na którym z przodu układa się fałdowaną draperyą, a z tyłu daje bryt upięty w sposób na ryc. 26 wskazany. Przody i boczki paletocikowego stanika, są na podobieństwo męzkich tużurków, dopełniono prostemi połami. Do pleców przy szwie środkowym i szwach bocznych, trzeba dodać potrzebnego na fałdy materyału. Na modelu przy sukni beszowej kołnierz, ranwersy, mankiety, klapki przy kieszeniach i kokardy, były z materyi w takim samym kolorze.

Ubranie z vêtement. Ryc. 39 w N-rze 27.

Rycina 39 przedstawia suknię z kretonu gładkiego i w paski; przód i boczne kliny spódnicy niedotykającej ziemi ułożone są w szerokie podwójne kontrafałdy. Dół spódnicy oszyty nadpowietrznym, szerokim fałdowanym wolantem, zakończonym w górze bufą z kretonu w paski i gładkim nagłówkiem. Vêtement w paski ma przody podszyte gładkim kretonem i wywinięto do tyłu. Kołnierz i mankiety gładkie.

